7 DNI

CENA 50 GR

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE



OD 13-GO NUMERU ZWIEDZAĆ BĘDZIEMY Z MAURYCYM DEKOBRĄ HOLLYWOOD (fot. Metro).



M. A. AŁDANOW.

STALIN

(Wyjątek z głośnego dzieła rosyjskiego pisarza p. Ł. „Współcześni", które ukaże się w przekładzie polskim Jana Barskiego, w najbliższych dniach).

Jest mi niesłychanie trudno pisać o bolszewikach „objektywnie", lecz muszę powiedzieć, że Stalin jest człowiekiem wybitnym, bezsprzecznie najwybitniejszym z całej gwardji Lenina. Stalin zbryzgany jest krwią tak bardzo, jak inny z współcześnie żyjących ludzi poza Trockim i Zinowjewem. Ale z czystem sumieniem nie mogę mu zaprzeczyć wyjątkowej siły woli i odwagi. Dla Stalina nie tylko cudze życie nie warte jest grosza, ale i jego własne — tem właśnie wybitnie różni się od wielu innych bolszewików.

Jak większość współczesnych dyktatorów, ochodzi z „nizin". Mustafa Kemal urodził się w bardzo biednej rodzinie. Stambuliński wychował się w lepiance pastucha. Ojciec Mussoliniego był kowalem. Matka Envera myła trupy w prosektorjum. Talaat został wielkim wezyrem z prostego listonosza. Józef Stalin jest synem szewca z Tyflisu. Wielu uważa go za osecińca. Niesłusznie — jest rodowitym gruzinem.

Ludzie, niegdyś mu bliscy, mówili mi, że w młodości przezszedł przez bardzo surową szkołę biedy i braków, że wyrósł pośród tyfliskich „kinto", od których przejął prostactwo i cyniczny dowcip. Polityczna biografja Dżugaszwili rozpoczyna się od tyfliskiego seminarjum, w którem umieścił go ojciec, przeznaczając syna do stanu duchownego. Stalin jako duchowny!... Z seminarjum wydalono go w dziewiętnastym roku życia za nieprawomyślność. W tym samym (1898 r.) roku wstąpił do rosyjskiej partji socjaldemokratycznej i był kolejno członkiem komitetów Tyfliskiego, Batumskiego i Bakińskiego, redagował rozliczne wydawnictwa partyjne („Walka proletarjatu", „Dro", „Bakiński robotnik"), napisał kilka marksowskich książek. Do frakcji bolszewickiej przyłączył się od chwili rozłamu w łonie socjal-demokracji i w krótkim bardzo czasie został uznany za przywódcę nielicznych kaukaskich bolszewików. Sześć razy aresztowano go i sześć razy deportowano: do Wschodniej Syberji (1903), do Solwyczegodska (1908), powtórnie do Solwyczegodska (1908), do Wołogdy (1911), do kraju Narymskiego (1912) i do kraju Turuchańskiego (1913). Ze wszystkich tych miejscowości (z wyjątkiem ostatniej) uciekał. po krótkim pobycie, częściej po upływie jednego, lub dwóch miesięcy od chwili osiedlenia. Życie Stalina zaprawdę uważać można za upakarzającą naukę dla działaczy departamentu policji. Dobre to było zesłanie. z którego można było pięciokrotnie uciekać. Niezłe było również to, że Stalina z całym spokojem skazywano tylko na zesłanie. Departament Policji zarzucał mu jedynie jakąś „majówkę", zorganizowanie demonstracyj ulicznych, nielegalne wydawnictwa, kierowanie strajkiem ekonomicznym w Batumskich przedsiębiorstwach Rotschildów i jeszcze coś w tym rodzaju. Te ciężkie przestępstwa musiały wywoływać uśmiech na ustach ludzi, znających prawdziwą robotę Stalina.

Był on wodzem naczelnym tak zwanych bojowców Zakaukazu. Sam nie wiem, i, zdaje się, nikt poza Stalinem nie wie, ile właściwie „eksów" zorganizowano pod jego kierownictwem. Najwybitniejszym sukcesem partyjnym w tej dziedzinie była pamiętna ekspropriacja w Tyflisie, która zapewniła partji bolszewickiej kilka lat owocnej pracy.

13 czerwca 1907 roku, o godzinie 10 i pół rano, kasjer tyfliskiego oddziału Banku Państwa, Kurdiumow, i buchalter, Gołownia, odebrali na poczcie przysłaną do oddziału ze stolicy znaczną sumę pieniędzy*) i wieźli ją do banku powozikiem, za którym jechał drugi powozik, wiozący dwóch uzbrojonych strzelców. Oba ekwipaże otoczone były konwojem kozaków. W centrum miasta, w pobliżu pałacu namiestnika, kiedy czołowa grupa konwojentów wjechała z placu Erywańskiego w ulicę Sołołakską, z dachu domu księcia Sumbatowa rzucono do powozu bombę o strasznej sile, od wybuchu której posypały się szyby z okien w wiorstowem promieniu. Prawie jednocześnie rzucono z chodników na konwój jeszcze kilka bomb i jacyś przechodnie zaczęli ostrzeliwać go z rewolwerów. Na ludnym placu powstało zamieszanie, które wkrótce przekształciło się w rozpaczliwą panikę. Co stało się z pieniędzmi, nikt z naocznych świadków nie potrafił na śledztwie powiedzieć. Pierwszy wybuch bomby wyrzucił z powozu kasjera i buchaltera. Oszalałe konie poniosły cudem ocalały powozik. Na drugim końcu placu wysoki „przechodzień" podbiegł, aby



Dyktator sowiecki — Stalin.

przeciąć drogę mknącym koniom, i rzucił im bombę pod nogi. Rozległ się nowy, ogłuszający wybuch i wszystko znikło w chmurze dymu. Jeden ze świadków widział jednakże, że jakiś mężczyzna w mundurze oficera, który jechał kłusakiem przez plac, wyskoczył z powoziku, rzucił się ku roztrzaskanemu, dymiącemu powozowi. porwał zeń coś i umknął, paląc naoślep na wszystkie strony z rewolweru.

W tym najsławniejszym z „eksów" zabito i zraniono około 50 osób. Pieniędzy nie odnaleziono, policja nie uwięziła nikogo, śledztwo zaś nic nie wykryło. Teraz wiemy, że bolszewicy starannie śledzili pieniądze już od stolicy. W Tyflisie około poczty obserwowały kasjera dwie kobiety (Pacja Gołdawa i Annetta Sułamlidze), które dały umowny znak oddziałowi ekspropriatorów, oczekujących nań w restauracji „Tilipuczuri". Mężczyzną, przebranym za oficera, był znany Petrosjan, uczeń i pomocnik Stalina, przezwany przezeń Kamo*). Schował on pieniądze w takiem miejscu, którę wątpię, czy mogło wzbudzić podejrzenie najlepszej na świecie policji: banknoty zostały zaszyte w kanapie zarządzającego kaukaskiem obserwatorjum! Czyż to nie Rocambol?

Rola Stalina w tyfliskiej ekspropriacji dotychczas szczegółowo nie została wyjaśniona. Według jednej wersji właśnie on rzucił pierwszą bombę na powóz. Ale wątpię, czy jest to zgodne z prawdą: Stalin zajmował wówczas już zbyt wysokie stanowisko w partji, aby miał spełniać rolę szeregowego - terorysty. Według wszelkich danych, do niego należało zwierzchnie kierownictwo sprawą. Bomby zaś do ekspropriacji przysłał z Finlandji sam Lenin. Do niego także, na potrzeby partji, odwieziono później zrabowane pieniądze. Ani Stalin, ani Kamo, w przeciwieństwie do wielu innych ekspropriatorów, nie korzystali z „eksów", celem osobistego wzbogacenia się.

O czem tu mówić! My, europejczycy, w ciągu ostatnich wieków odzwyczailiśmy się od tego rodzaju działaczy państwowych. Jednakże były przecież czasy, kiedy władza w Europie prawie zawsze należała do takich ludzi — jak należy do nich i teraz na olbrzymich pozaeuropejskich terytorjach.

— — — — — — — — — — — —

Karjera Stalina między pierwszą i drugą rewolucją nie była burzliwa. Za swą działalność polityczną został usunięty z partji s.-d. przez jej zakaukaski komitet. Wkrótce porzucił Gruzję i przez długie lata pracował w Rosji — w rozmaitych organizacjach bolszewickich. Świadomi rzeczy tłumaczą częściowo jego dzisiejszy wpływ tem, że „partyjnicy" całej Rosji znają dobrze tego wodza, który nigdy nie był emigrantem.

Podczas wojny Stalin był na zesłaniu. Do Petersburga przybył po rewolucji i odrazu stał się najbliższym pomocnikiem Lenina. Rola Stalina nie była jednakże głośna. Głośne role odgrywali początkowo Zinowjew, a potem Trocki.

Trocki nigdy nie miał i mieć nie będzie idei. W roku 1905 zapożyczył swe idee od Parvusa, w 1917 — od Lenina. Jego współczesna krytyka opozycyjna jest wspólną platformą prasy emigracyjnej. Szczególnie nie wiodło się Trockiemu z „ideałami" podczas rewolucji. Przysięgał, że bronić będzie konstytuanty na dwa miesiące przed jej rozpędzeniem. Pisał: „Likwidacja państwowego upijania narodu weszła w skład żelaznego inwentarza zdobyczy rewolucji" *), — przed przywróceniem w Rosji sow. rządowej sprzedaży wódki. Jednakże nie można odmówić Trockiemu wielkiej sztuki aktorskiej, zarówno jak rozumu i przebiegłości. Wielki artysta — dla niewymagającej publiczności, Iwanow - Kozielskij rewolucji rosyjskiej.

Cała rewolucja październikowa była, że tak rzec można, benefisem Trockiego. W każdym bądź razie, mówiąc o niej, wówczas i następnie, niezmiennie zachowywał się, jak na „benefisie" — był jak na benefisie, przesadnie skromny, wzruszony i taktowny. Ze wzruszeniem kłaniał się swym współczesnym i historji, ze wzruszeniem przyjmował kwiaty i część ich oddawał innym uczestnikom widowiska, troskliwie wybierając w tym celu co skromniejsze kwiatki i co słabszych uczestników. W książkach swych, poświęconych październikowi roku

*) Współczesne bolszewickie źródła i ustna tradycja mówią o 250 tys. rubli. Jednakże rosyjskie gazety z owej epoki („Nowoje Wremia" — 14 czerwca 1907 r) wymieniają również inną cyfrę — 341 tys. Są to te same 500-rublowe banknoty, pod literą AM. Nr. 62900 i następne, przy wymianie których na drobne został aresztowany w Paryżu „ojczulek" (Litwinow).

*) Petrosjan, mówiący źle po rosyjsku, pytał, pytał, otrzymując polecenia od Stalina: „Kamo zawieźć?" „Kamo powiedzieć"?...

*) L. Trocki: Wódka, cerkiew i kinematograf, str. 43.

1917**), Trocki po ojcowsku wychwala najdrobniejszych rewolucjonistów, którzy brali udział w przewrocie — aż do felczera Łazimira, aż do jakiegoś marynarza Markina. Ludzi wybitniejszych starannie pozostawia w cieniu. Naturalnie, Lenina nie można było w żaden sposób pominąć milczeniem, — pochlebczo - przewrotna książka Trockiego o Leninie jest dostatecznie znana. Ale o Stalinie Trocki całkiem zapomniał — Stalin nie dostał najmniejszego nawet kwiatka. Dwutomowa praca Trockiego o roku 1917 ozdobiona jest portretami Swierdłowa, Antonowa - Owsiejenko, Podwojskiego, Krylenki — portret Stalina nie znalazł się w niej jednak. Tymczasem zaś rola dzisiejszego dyktatora w rewolucji październikowej była bardzo wielka: wchodził zarówno w skład „piątki", kierującej polityczną stroną powstania jak i „siódemki", kierującej stroną organizacyjną.

Bądź co bądź, począwszy od pierwszych miesięcy rewolucji, ci dwaj ludzie — bezwątpienia najwybitniejsi w partji bolszewickiej — poszli każdy swoją drogą. Trocki również w późniejszych okresach wyszukiwali dla siebie role benefisowe. Do czasu zawarcia pokoju z Niemcami najefektowniejszem i najwdzięczniejszem stanowiskiem w rządzie sowieckim było stanowisko ministra spraw zagranicznych. Stanowisko to otrzymał Trocki i „w oczach całego cywilizowanego świata" odegrał brzeskie przedstawienie, kończąc widowisko akordem, coprawda niecałkiem udanym, zato niesłychanym od stworzenia świata: „wojnę kończymy, pokoju nie zawieramy". W chwili wybuchu wojny domowej, najbardziej popisową rolą stała się rola naczelnego wodza czerwonej armji. Trocki został komisarzem wojny, przewodniczącym „Rewolucyjnej Rady Wojennej", rosyjskim Carnot'em i „elektryzatorem rewolucji". Jaka była istotnie jego rola w wojnie domowej — trudno obecnie powiedzieć. Po pierwszem zerwaniu z Trockim bolszewicy (t. j. Stalin) opublikowali kilka dokumentów, z których jakoby wynika niezbicie, że rola jego była dość skromna i że „czerwony Napoleon" niezawsze zachowywał się po napoleońsku. Historja potrafi to zagadnienie (w odróżnieniu od większości innych) wyjaśnić dokładnie. W każdym bądź razie Trocki zrobił dla legendy wszystko, co tylko było możliwe. „Przeszedł kurs Akademji Sztabu Generalnego" ,jeździł carskim pociągiem z wagonem - drukarnią, zawoził na front Demiana Biednawo i nawet zaszczycił go orderem — „dzielnemu kawalerzyście słowa" (któż mógł przewidzieć ze strony kawalerzysty słowa taką czarną niewdzięczność?). Na wszystkich decydujących frontach wygłaszał płomienne przemówienia. Każda jego mowa musiała być zaopatrzona „wykrzyknikami". Po Trockim pozostanie dziesięć tysięcy wykrzykników — w większości wypadków — o b r a z o w y c h. Po zamachu Dory Kapłan, zawołał: „Myśmy już przedtem wiedzieli, że towarzysz Lenin ma metal w piersi!" Gdzieś nad Wołgą, w Kazaniu, czy w Saratowie, zawołał w porywie entuzjazmu „głuchym głosem": „jeżeli burżuazja zechce zająć dla siebie całe miejsce pod słońcem, zgasimy słońce!" Galerja wyła z zachwytu, jak niegdyś na występach Iwanowa-Kozielskiego. Przy całem swem aktorstwie, Trocki nie przystosowuje się do publiczności, — nie potrafi mówić inaczej. Zresztą, tak przemawiają również inni utalentowani mówcy i nietylko w Saratowie. Nieboszczyk Viviani, naprzykład, był także mistrzem wykrzykników: „La France marchant la tete plus haut que les étoiles"... Anatol France zatykał sobie uszy przed jego obrazowemi porównaniami, ale na „niższem piętrze kultury francuskiej" ów blask drugiego gatunku cieszył się głośnem powodzeniem. Trocki jest w dodatku „świetnym pisarzem" — według głębokiego przekonania ludzi, niemających nic wspólnego z literaturą. Nikt nie umiał lepiej od niego demaskować w artykułach „imperjalistycznego kopyta p. Miliukowa", nikt równie efektownie nie radził „sir Buchanan'owi": „Niech pan będzie łaskaw zdjąć nogi ze stołu". Trockiemu świetnie udają się wszystkie subtelności rzemiosła: i „cóż ten sens oznacza?", i „wdowa po podoficerze, która sama siebie wychłostała" i „tendencja, przechodząca, jak czerwona nić", i „zwyciężyć lub umrzeć!" Klisze bolszewickiej drukarni umie urozmaicić stupudową ironją: „W owych górnych sferach, gdzie prowadzi się książki przychodów i rozchodów przedsiębiorstwa bożego, postanowiono w pewnej chwili przenieść Mikołaja na odpowiedzialne stanowisko emerytowanej kozy dobosza, a wodze rządów powierzyć Rodziance, Miliukowowi i Kiereńskiemu". (Pisma, t. III, str. 22).

W ostatnich latach widocznie osłabł i prowadził się poniżej poziomu swej opinji zręcznego człowieka. Po najdumniejszych pozach następowała najbardziej upokarzająca skrucha. Najoczywiściej zdradziły go zasadnicze zdolności rewolucjonisty — umiejętność obliczania sił własnych i sił wroga. Czyjego poparcia się spodziewał? Czy na zawsze zejdzie ze sceny, jak wygwizdany aktor? Trocki przeżył całe swe życie przed lustrem, szminkując się dla historycznej galerji. Jeśli kiedykolwiek położy kres swemu życiu, albo zginie „na barykadzie" („barykadę" odmieniał przez trzydzieści lat we wszystkich przypadkach), to również i to zrobi dla galerji — dla tej pracy biograficznej, którą napisze o nim Klara Zetkin 27-go wieku.

— — — — — — — — — — —

Różni ludzie spędzają dni przed lustrem — częstokroć nawet jednostki bardzo utalentowane. Jednakże z łatwością przychodzi to tylko poetom i artystom. Walczyć przed lustrem jest znacznie trudniej na stanowiskach zaś bojowych zwykle cieszą się powodzeniem ludzie, nie oglądający się na zwierciadło. Takim człowiekiem był Lenin. Takim też jest i współczesny dyktator wszechrosyjski.

Stalin, w przeciwieństwie do Trockiego, nie grał ról benefisowych. W ciągu czterech lat był „komisarzem ludowym spraw narodowościowych", które to stanowisko zniesiono następnie, jako całkowicie zbędne. Stał również na czele robotniczo-włościańskiej inspekcji. Było to zapewne stanowisko podobnego rodzaju: nie może przecież Stalin kontrolować Stalina. Jako jeden z najbliższych współpracowników Lenina, mógłby był, naturalnie, pełnić wdzięczniejsze obowiązki. Widocznie jednak zasadnicza idea Dżugaszwilego polegała na tem, że w warunkach bolszewickiej rewolucji rzecz nie polega na stanowiskach państwowych, lecz na aparacie partyjnym. Stalin został członkiem „Politbiura" już w maju roku 1917, następnie przeszedł do Sekretarjatu Centralnego Komitetu, wreszcie sam został generalnym sekretarzem R. P. K. Dało mu to możność usunięcia Trockiego i Zinowjewa.

(Dokończenie na str. 192)

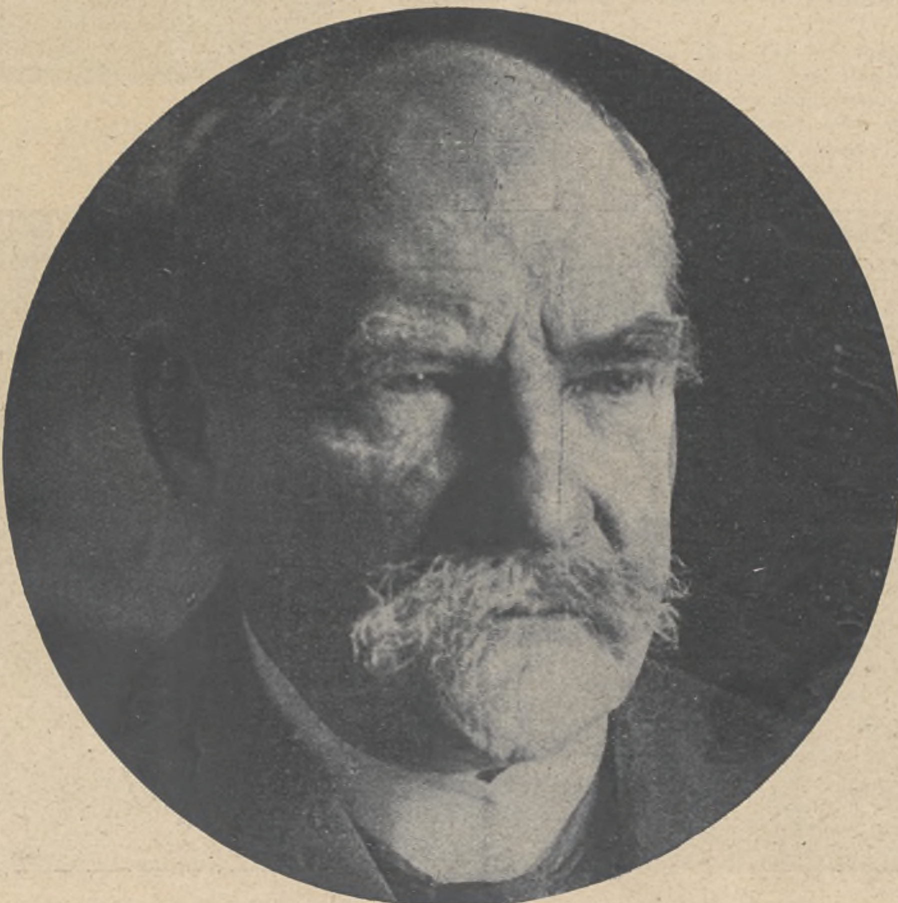
**) Troskliwie wydał wszystko, co napisał w roku 1917: swe przemówienia, artykuliki, uwagi, proklamacje, telegramy, słowem — wszystko.

Wybór Prezydenta Finlandji

Dotychczasowy premjer, Pehr Evind Svinthufvud, wybrany obecnie na Prezydenta Finlandji, urodził się w roku 1861. Jego karjera prawnicza przypada na lata 1886—1914. Odegrał on wybitną rolę przy organizowaniu oporu biernego w Finlandji przeciw uciskowi rosyjskiemu. W r. 1914, pozostając na stanowisku sędziego, protestował przeciwko bezprawiom władz rosyjskich i dlatego został zesłany na Syberję. Zwolniony z zesłania w r. 1917-m, dzięki zwycięstwu rewolucji, tryumfalnie powrócił do Finlandji. Natychmiast po powrocie został mianowany generalnym prokuratorem, a jesienią r. 1917-go — prezesem Rady Ministrów.

Rząd jego natychmiast przystąpił do energicznej akcji wyparcia wojsk rosyjskich z Finlandji i uwolnienie kraju z jarzma rosyjskiego. W styczniu r. 1918-go musiał on przez pewien czas ukrywać się przed czerwonymi, ale wreszcie udało mu się zbiec na pokładzie jednego z okrętów, na którym dostał się do Wazy, ówczesnej „stolicy białych". Tutaj stanął na czele utworzonego w Wazie rządu i pozostawał na tem stanowisku aż do ukończenia wojny o uzyskanie niepodległości, w charakterze regenta kraju. W lipcu 1930 r., w związku z ruchem antykomunistycznym, utworzył obecny gabinet koalicji mieszczańskiej.

Svinhufvud należy do narodowej partji zjednoczeniowej (konserwatyści umiarkowani).



Nowowybrany prezydent Finlandji, Pehr Evind Svinthufvud.

ani rusz elektryfikacji doczekać się nie może. Jedźmy. Cisza i spokój, idące od białych, śniegiem pokrytych pól, ku oknom wagonu zbawiennie wpływają na skołatane życiem wielkomiejskiem nerwy. Zarówno pola, tak wyglądające dziś, jak i ongiś wyglądały, jak i sama jazda jedną z pierwszych na świecie (co do wieku!) kolei — kolejką wilanowską, sprawiają, że myślą cofamy się wstecz, w lata dawne, lata, które zacofańcy całego świata nazywają „błogosławionemi"...

Dość rozmyślań! Stanęliśmy oto u celu naszej wycieczki. O sto kroków od stacji Chylice w stronę Skolimowa, stoi piękny, jasny, dwupiętrowy gmach, zdobny w szerokie tarasy, schody pałacowe i cały komfort nowoczesnej architektury.

Tu mieści się *Schronisko Artystów - Weteranów Scen Polskich*, wybudowane i uruchomione staraniem Związku Art. Scen Polskich i pozostające stale pod jego nader troskliwą opieką, w tej chwili stanowiące kres naszej wędrówki i przedmiot naszego zainteresowania. Prezes „Zaspu" p. Dygas, dyrektor Związku, jak również opiekun i administrator schroniska, p. Pawłowski, witają nas gościnnie już u progu. Chwila na usprawiedliwione „tempem" kolejki opóźnienie i już jesteśmy w obszernym, piętrowej wysokości, komfortowo urządzonym hallu; pośrodku długi, pokryty białym obrusem stół, a przy stole — wszystkie lokatorki i lokatorzy schroniska, w toku ożywionej pogawędki, prowadzonej przy obiedzie.



Adolfina Zimmajer w sztuce „Koci duet".



Portret Bolesławy Siedleckiej.

LEOPOLD MARSCHAK.

Pogodna zima zmierzchłych gwiazd

Moja wizyta w schronisku weteranów scen polskich

Blaskiem najszybciej przemijającym jest blask sławy scenicznej i filmowej. Gwiazda sceny czy ekranu, która dziś jest bożyszczem tłumów, a co za tem idzie, staje na szczycie moralnego i materjalnego powodzenia — jutro powoli gasnąć zaczyna, aż w końcu — okryje ją mrok zapomnienia, który tem gorszy bywa, im większą sławą cieszyła się jego ofiara w swojem scenicznem życiu...

Coprawda, scena darzy swe pupilki dłuższą pamięcią publiczności, niż płótno ekranu, ale też, o ile więcej wymagamy od gwiazdy opery, komedji, czy baletu, niż od przeciętnej „filmstar!"

Gdzie podziewają się, jak żyją i co porabiają zagasłe już gwiazdy sceny polskiej? Gdzie są te, których nazwiska kiedyś fascynowały tłumy, a których talent tyle wzniosłych wzruszeń i mile spędzonych wieczorów dał publiczności teatralnej?

By móc na pytania te odpowiedzieć dokładnie — zapraszamy dziś czytelniczki i czytelników „7 Dni" na małą wycieczkę poza Warszawę. Czy daleko? Ależ skąd? Niespełna trzydzieści kilometrów i godzinka jazdy „ekspressem wilanowskim", który



Na tarasie Schroniska Artystów-Weteranów Scen Polskich w Skolimowie.

Ten, który kojarzył w myśli obraz „schroniska" ze specyficzną, a właściwą schroniskom atmosferą — tu pomyliłby się grubo.

Bo w schronisku artystów - weteranów jeżeli jest jakaś atmosfera — to miłego eleganckiego pensjonatu. Jeżeli jest jakiś nastrój — to humoru, ploteczek i młodości! Brzmi to jak paradoks, a przecież tak jest!

Przedstawiony ogólnie siadam do stołu i gawędzę z sąsiadami. Dyr. Pawłowski mówi mi pocichu nazwiska. Ta starsza pani, o sympatycznej, pełnej wyrazu twarzy to *Adolfina Zimmajer*, której nazwisko głośne było ongiś nie-

tylko w Polsce, lecz i daleko poza jej granicami, ba! w Ameryce nawet!

W tej chwili ma lat 79, choć na wiek ten nie wygląda. Vis a vis — starsza pani, o włosach, jak mleko białych, w stroju, według dawnych wzorów, uszytym. To — p. Bolesława Siedlecka, słynna za dawnych czasów artystka komedjowa, która szmat wieku spędziła na scenie dawnych Rozmaitości. I jeszcze sześć osób bierze udział w tym obiedzie artystycznym, z których każda ma za sobą piękną przeszłość i tradycję na deskach sceny polskiej. Są więc pp.: *Marja Fertner-Wiśniewska, Marja Polińska-Rusiecka, Wanda Biernacka, Teofila Żołopińska, Irena Sznebelin, Józefina Wieljardowa-Tomaszewska, Lucjan Wiśniewski i Bolesław Sapalski*. Najstarszą pensjonarjuszką jest p. Adolfina Zimmajer (ur. 1852 r.), najmłodszą — p. Polińska (ur. 1882 r.).

Schronisko obliczone jest wprawdzie na 30 osób, lecz w tej chwili niema, na szczęście, zbyt wielu potrzebujących na starość pomocy. Wszakże samo schronisko chlubnie świadczy o zapobiegliwości Związku. Każdy aktor po 30 latach pracy, skołatany życiem, zgnębiony niedostatkiem — ma prawo zapukać do drzwi domu w Skolimowie, gdzie znajdzie dach, utrzymanie i serdeczną pomoc...

*

Obiad się skończył. Panie udają się do swych pokojów, panowie gawędzą jeszcze przy stole. W towarzystwie dyr. Pawłowskiego idziemy na I-sze piętro; drzwi z tabliczką: *„Adolfina Zimmajer"*. Pukamy. Sympatyczny głos odpowiada z wewnątrz: — proszę!

Wchodzimy do pokoju. Ze ścian spogląda na mnie tysiąc fotografij, wyblakłych i pożółkłych, tysiąc pięknych kobiet w starodawnych strojach, tysiąc uśmiechniętych twarzy gwiazdy operetki, komedji, farsy i ogródków — Adolfiny Zimmajer. A ona sama stoi pomiędzy relikwiami swej dawnej świetności i spełnia role przewodnika, mówiąc:

· Oto, proszę pana, Zimmajerka, gdy miała 19 lat! Tutaj, w „Kocim duecie" (miała szalone powodzenie!), a to fotografja z operetki „Nitouche"...

— Kiedy pani wstąpiła na scenę?

— O, — śmieje się wesoło p. Adolfina, — tak dawno, że chyba nie pamiętam! Zaraz! Miałam lat 14, a więc gdzieś w 1865 roku, w Brzeżanach, w teatrze Gustawa Modrzejewskiego, późniejszego mego męża...

Wkrótce potem otrzymałam piękną, liryczną rolę w sztuce „Ulicznik Paryski". Starałam się grać jak najlepiej, płakałam nawet na scenie (choć mi to z trudem przyszło!) byle dyrektor był zadowolony!

— Kiedyż odniosła pani swój pierwszy większy sukces?

— Zaraz panu o moim „sukcesie" opowiem. Było to, za moich niemal dziecinnych czasów. Już wtedy grywałam w Krakowie, w teatrach amatorskich u Derynga. Potem występowałam w Oświęcimiu i w Jarosławiu, gdzie dyrektor, Józef Benda, dał mi... benefis! Byłam tem niesłychanie zemocjonowana, tembardziej, że grać miałam w sztuce „Dzwonnik z Notre-Dame". W dzień przedstawienia obeszliśmy wraz z kolegą niemal całe miasto, zapraszając publiczność do teatru — na benefis. Wszyscy przyrzekli solennie, że przyjdą, ale wieczorem — nie przyszedł nikt i przedstawienie zostało odwołane, z czego byłam nawet kontenta, gdyż ani rusz roli nie mogłam się nauczyć! I taki był pierwszy „sukces" Adolfiny Zimmajer, panie redaktorze!

— A pierwsze jej zetknięcie się z publicznością warszawską?

— To stało się bodaj że w roku 1880! Grałam początkowo w Rozmaitościach, potem zaś znalazłam się w „bóżnicy"...

— Cóż to takiego było?

— Pierwsza operetka w Warszawie! Zorganizował ją aktor Strumfeld, w gmachu, przy ul Daniłowiczowskiej 10, przerobionym z dawnej bóżnicy, której nazwę teatr odziedziczył. Poza mną — grali tam Rufin Morozowicz, Wanda Morawska, Lucjan Rzecznik, Michalina Makowiecka... Otrzymywałam wówczas rocznej gaży 1300 rubli i 5 rb. „feu" od występu. Naturalnie (jak każda młoda aktorka!) żądałam więcej i przez to pokłóciłam się nietylko z reżyserem Ludwikiem Śliwińskim, lecz i z pewnym recenzentem, co spowodowało moją ucieczkę ze stolicy...

— Jakże to się stało?

Pani Zimmajer, pod wpływem wspomnień, ożywia się. Oczy jej nabierają młodzieńczego blasku i, śmiejąc się, opowiada dalej: — Otóż, prawdopodobnie pod wpływem Śliwińskiego, napisał ktoś w „Kurjerku", że Zimmajerka chce gwiazdki z nieba i kafelki z pieca... Dotknęło mnie to do żywego i postanowiłam się zemścić. To też, gdy kilka dni potem, grałam w wodewilu „Pani majstrowa z Podwala", w pewnym momencie, na zapytanie: „Może pani co zagra lub zaśpiewa?" — odpowiedziałam, ignorując zupełnie rolę: „Nie mogę, bo mnie jakiś osioł w „Kurjerku" skrytykuje!"

Ta odpowiedź wywołała przerażenie grających ze mną kolegów, a formalną burzę na widowni.

Nie było rady — musiałam uciekać z Warszawy, gdyż ogłoszono formalny „bojkot Zimmajerki" i osiadłam w Berlinie, skąd następnie udałam się do Ameryki. Ale do Warszawy powróciłam w 1887 roku.

— Jakie były pani najulubieńsze role?

— Mój Boże, czy ja wiem? Tyle ich miałam! „Nitouche", Luiza w „Uliczniku", grałam w „Życiu nad stan", w „Mieszczanach i Kmiotkach", w „Karpackich Góralach"...

A prawda: moim, jak to się dziś mówi, „szlagierem" był „Koci duet", fotografję moją w roli „Kotki" trzyma pan redaktor w ręce... „Kotów" miałam całe stado, lecz najlepszym z nich był Rapacki!

— A jakież są poglądy pani na poziom dzisiejszych operetek i wodewilów?

— Powiem krótko: poziom repertuarowy i artystyczny jest o wiele niższy, a na scenie zadużo golizny! Aż się dziwię ludziom, że im się jeszcze nie przejadła!"

Żegnam serdecznie panią Adolfinę; przyrzekam solennie, że przybędę złożyć jej życzenia z racji już bliskiej 80-ej rocznicy urodzin.

Mój uprzejmy cicerone, dyr. Pawłowski, prowadzi mnie do drzwi sąsiedniego pokoju. Wewnątrz, na niskiej, wygodnej kanapie, oczekuje na nas sędziwa emerytka warszawskich scen miejskich — pani Bolesława Siedlecka.

Po słowach powitania, przystępuję do niedyskretnego tematu, którym u kobiet był, jest i zawsze będzie — wiek!

— Niech pan napisze poprostu, że mam siedemdziesiąt, i kropka! A na scenę wstąpiłam, mając lat osiemnaście...

Ojciec mój był ziemianinem, dziad — żołnierzem napoleońskim, no, a wnuczka — została aktorką!

— Gdzie pani rozpoczęła karjerę sceniczną?

— W Tarnowie! Potem przyjechałam do Warszawy i zaangażowana zostałam do Rozmaitości, potem zaś przeszłam do Letniego, któremu przez długi szereg lat pozostałam wierną! Miałam wyłącznie lekki repertuar, koledzy nazywali mnie „Żółkowskim w spódnicy"... Grałam w „Zaric", w „Niobe", w „Cioci Bercie"; w „Ciotce na wydaniu" — wogóle byłam specjalistką od... ciotek!

— Jakże zachowywała się w stosunku do aktorów ówczesna dyrekcja teatrów miejskich?

— Mogę tyle tylko powiedzieć, — uśmiecha się tajemniczo pani Siedlecka, — że każdy rosyjski prezes kochał się w każdej po kolei aktorce! I we mnie też, — dodaje, śmiejąc się, weteranka farsy, — ale bez wzajemności, bo wcześnie wyszłam zamąż!

Zmierzch już zapadał, gdy, żegnany przez gościnnych gospodarzy, zdążałem ku stacji.

Ogarnięty ciszą i pogodą miejsca, które przed chwilą opuściłem — z pewnym niesmakiem myślałem o nowoczesnem tempie, rytmie, zgrzycie i hałasie Warszawy...

O, gdyby się tak można było *nerwami* cofnąć w przeszłość....

Poczynając od najbliższego (10-go) numeru, „7 DNI" rozpocznie druk pierwszej serji feljetonów z cyklu p. t.

„Ostatnia Fala"

pióra jednego z najpopularniejszych polskich prelegentów radjowych, b. współredaktora naszego pisma,

Jana Piotrowskiego

Feljetony te, wygłoszone przed mikrofonem „Polskiego Radja", wywołały nader żywy odzew wśród najszerszych sfer radjosłuchaczów, wytrzymując w zupełności t. zw. „próbę mikrofonu". Bezwątpienia wytrzymają też „próbę druku", zdobywając sobie licznych zwolenników wśród Czytelników „7 DNI".

WŁODZIMIERZ POPŁAWSKI.



„Droga Nuno.

Nudziłam się wytrwale. Kazika całemi dniami ani śladu, w domu, poza głuchawą służącą— żywej duszy.

Rozpacz.

Możesz sobie wyobrazić, że przy najpowolniejszem tempie w ciągu dwuch tygodni poznaje się wszystkie atrakcje takiego partykularza.

A co dalej?

Książki (przeczytałam całego Pitigrill'ego i Wasylewskiego), plotki (dowiedziałam się, że jestem Kazika utrzymanką...), radjo (wyłapałam wszystkie możliwe stacje, speaker w Barcelonie ma cudowny głos).

Radjo, plotki, książki.

A tymczasem dnie ciągną się, jak guma do żucia.

Zaczęłam już nawet żałować, że sama narzuciłam się Kazikowi ze swem towarzystwem, ale wiesz — te codzienne przesiadywanie w „Europie", kiepskie filmy i duszne dancingi też mogą się sprzykrzyć.

Chciałam trochę „natury".

No i mam ją.

Brrr...

Zaczęłam zastanawiać się nad wynalezieniem jakiejś rozrywki. Czegoś, coby mi zapełniło czas podczas nieobecności Kazika.

I znalazłam.

Ogłoszenie matrymonjalne.

Czy nie „przebój"?

Układałam je kilka godzin, aż wreszcie powstał prawdziwy majstersztyk, tak pikantny i tak frapujący, że chyba jedynie 100% impotent nie złapałby się na moją „wędkę".

„PANI MŁODA, MIŁA, PEŁNA NIEUGASZONEGO TEMPERAMENTU, MATERJALNIE WIĘCEJ NIŻ NIEZALEŻNA, POSZUKUJE TĄ, NIECO ORYGINALNĄ DROGĄ, MIŁEGO GENTLEMANA DLA ZABICIA NUDY JESIENNEJ. ZGŁOSZENIA SUB. „WENUS BEZ FUTRA".

No, chyba bardziej pociągającego ogłoszenia nie można spreparować.

I młoda.

I ładna.

I z nieugaszonym temperamentem.

I, co najważniejsze, z pieniędzmi — ósmy cud świata!

Mimo to, pierwszego i drugiego dnia administracja dziennika nie nadesłała mi żadnej „oferty".

Dopiero na trzeci dzień otrzymałam jeden, jedyny niewielki liścik, który otworzyłam z przysłowiowo bijącem sercem.

Niejaki pan Ludomir Dołęga Br., stały mieszkaniec Krakowa — pisał:

„Mam młodość, urodę i męskość, tęsknotami przepojoną, budzącą pragnienia, które oryginalnej i zapewne apetycznej Wenus bez futra mogą dać wiele szczęścia, o ile upodobanie będzie obopólnem. Okropnie jestem ciekaw..."

Oczywiście, ta pierwsza wieść z szerokiego świata, ten goniec od gentlemana, posiadającego i urodę i męskość (?), napełniły mię wielką radością i entuzjazmem dla „twórcy" ogłoszeń matrymonjalnych.

Nazajutrz było listów — trzydzieści i trzy.

A dzień piąty od ukazania się ogłoszenia przyniósł — czterdzieści dziewięć „ofert" z całego kraju.

Ożyłam.

Jak ryba, wpuszczona do wody, jak ptak, uwolniony z ciasnego pudełka klatki.

Bo to była bodajże najcudowniejsza rozrywka.

Naprzykład taki liścik (zastrzegam, że podaję pisownię autentyczną):

„W odpowiedzi na Anons WP.

Donoszę iż liczę lat 43, pod względem fizycznem zupełnie zdrół i trzeźwy jakkolwiek tesz pracowity. Były właściciel księgarni i papierni. Lecz wojna i powojenny Stosunki doprowadziły go do zupełnej ruiny materjalno-finansowej. Zaś to życie samotne smutne i monotonne postanowiłem sobie ułożyć.

Jeżeli niniejsza oferta odpowiadać będzie W. P. to proszę o pełny adres zapowiedzią nie anonimową. Rzecz traktuję bardzo poważnie. W oczekiwaniu Cennych zleceń Kreślę się Adalbert Cz. kierownik kol.".

Widzisz, jaki to biedaczek, ten nasz pan Adalbert...

Ma lat 43, jest kierownikiem kol., a prócz tego mu smutno, bo miał kiedyś księgarnię i papiernię, a teraz jest „fizycznie zupełnie zdróf".

Inny list był pisany skomplikowanym charakterem na liljowym arkusiku ,a pochodził ze Lwowa:

„Wielmożna Pani!

Po przy czytaniu tak oreginalnego o głoszenia spiesze natychmiast aby móc zapoznać się blirżej z Wielm. Panią.

Osobie dużo wogule nigdy nie pisze, jestem natomiast młodym Synem Leśniczego lat liczę 29 nadzwyczaj bardzo wesoły dużo mowny lubi na tomiast dużo marżyć i Śnić o prawdziwej miłości oszczeńściu domowe zapatruje się trzeźwo na ten świat i marze omiłości chce kochać i być kochanem pragne szczeńścia domowego ogniska jeśli łaskawa Pani zech ce mi Łaskawie odpisać za co bendę bardzo wdzięcznym.

Posyłam równocześnie z gazety wycinek w kturejsię znachodzi moja podobizna swego czasu bowiem była wybraną drogą Kankursu zasyłam ją Pani do łaskawego uznania jeśli zechce Łaskawa pani mieć miłego i dobrego towarżysza życia tozechce Łaskawie odpisać. Zabnaczam żenie jezdem bo gatym a le za to mam bo ga te Serce Dobre zalety i potrafie Szanować i Kochać Lubie natomiast bardzo Wieś i spendzać wmiłości swe życie.

na zakończenie pozwalam sobie złożyć Łaskawej Pani Pieńkny ukłon donóżek drogiej mi pani pozostaje Alfred August S.".

Do tego cudownego listu dołączony niemniej kuszący portret autora. Sympatyczny brunet, uczesany „z selerkiem", w smokingu i z mocno cielęcem spojrzeniem na świat.

Wycinek ten, opatrzony nazwiskiem i podpisem: „zwycięzca serji drugiej", nakleiłam na kartonik i powiesiłam sobie nad łóżkiem, aby zawsze mieć przed oczyma tego sympatycznego chłoptysia, który jest „dużo mowny" i wogóle.

A teraz, nowa perełka, z kategorji „dystyngowanych":

„Łaskawa Pani!

Mile zdziwiony jestem napotkaniem w „Kurjerze" słów tęsknych swojej sfery. Właśnie jestem również w rozterce, w oczekiwaniu na karnawał, gdyż pragnąłbym się zaprzyjaźnić z przedstawicielką płci pięknej, mogącej mi towarzyszyć później w salonach wspólnych znajomych, których prawdopodobnie posiadamy.

Jakże rozkosznie owoce zakazane smakują w tajniach dworskich etykiet!

Jeśli łaska — proszę o słówko!

Wyrazy i td hołdu, łącząc kreślę się

Janusz W. D. ofic. rez.".

Ten znów list nastroił mnie melancholijnie.

Pisał przecież „arystokrata", człowiek mojej sfery. Uchylał przede mną rąbek kuszących spólnych wędrówek po salonach znajomych.

Dyskretnie napomykał o zakazanych owocach, o dworskich etykietach...

Życie jest piękne, a jeśli mi napiszesz, że ten arystokrata nie jest młodzieńcem ze wszech miar nobliwym — zrywam z Tobą wszelkie stosunki. Aha, prócz błękitnej krwi miał jeszcze wybitnie kaligraficzny charakter pisma, list jego roił się od zakrętasów, znamionujących rasowca. Znalazł się i list — perwersyjny, pełen płomiennych słów, czarownych projektów, a pochodził aż z — Rabki...

„Miła Venus bez futerka!

Staję w szranki z nudą Pani. Może zdołam spędzić ją z czoła Pani, starając się dać cel życia; stwarzać cele umię i zapewne taki i dla Pani znajdę.

Możemy najpierw przejść drogami różnymi, np .drogą szału, zapomnienia, a później wypłynąć w sferę zadowoleń wewnętrznych.

Ostrzedz jednak muszę Panią przed nieokiełznaną swą naturą, gdyż trafiając na pokrewną duszę pragnę ich stopienia się wciągając w tą grę — ciała.

Jest to droga oryginalna, lecz nie mniej niż Pani miłe ogłoszenie. Chcąc tedy dać Pani pełnię zadowolenia z życia, bodaj na ograniczony przez nią czas, podaję swój adres i o wzajemność proszę. Na każde życzenie, wszędzie się zjawię, a może Pani odwiedzi mnie w górach?

Byłaby to przepiękna wycieczka, a oryginalność jej nada Pani trochę emocji.

Proszę telefonować do mnie 9-12 i 3-6.

Prócz innych fidrygałków prowadzę biuro „Sibro", lecz to daje mi zupełną swobodę ruchu.

Oczekując telefonu, lub jeszcze milszej wizyty, ślę namiętny pocałunek... paluszka małego (bo więcej nie można? prawda?) Biuro „Sibro" jest naprzeciw dworca. Inż. St. L. Rabka-Zdrój telef...".

Szalenie miły inżynier, prawda?

A co za temperamencik...

A co za projekty...

Czemprędzej odpisałam mu, żeby był 30-go listopada o godzinie 7.45 rano na dworcu w — Stołpcach.

Sam przecież napisał, że: „na każde życzenie wszędzie się zjawi"...

Stołpce bardzo sympatyczna mieścina, a zresztą tylko tam mogłabym mu dać do ucałowania coś więcej, prócz małego paluszka.

Dla odmiany zacytuję Ci teraz list rzewny i poczciwy.

List, spłodzony na farbkowo-błękitnym papierze, co nie przeszkadza, że swoją treścią rozczulił mnie do łez.

No, bo proszę:

„Szanowna Pani!

Z największą przyjemnością poświęcę swój wolny czas, którego obecnie dosyć dużo posiadam, w celu urozmaicenia Pani życia.

verté

W krótkim czasie mam zamiar po długiej przerwie, kształcić się dalej w śpiewie, więc jeśli jest Pani miłośniczką śpiewu, to zaśpiewam Pani, gdy się nauczę jakiejś piosenki lub arji. Mogę być partnerem ,

verté

dla Pani do gry w szachy, o ile Pani zna tę grę, w przeciwnym razie nauczę Panią tej gry, jeśli oczywiście będzie chciała Pani nauczyć się tej gry. Umię prowadzić auto, jednak licenzji upoważniającej mnie ,

verté

do prowadzenia samemu auta bez dozoru nie posiadam.

Lat mam 25 skończone, wzrost średni, włosy ciemno-blond, oczy piwne. Z poważaniem

Stanisław Całuj".

Ileż rozkoszy czekało mnie ze strony miłego Stasia Całuja...

Pomyśl: gra w szachy, arje, piosenki. Chłopczyna umie nawet prowadzić auto, chociaż bez „licenzji" a z dozorem.

Naprawdę kochany marzyciel.

Z taką radością ucałowałabym go...

Coprawda, trochę za młody, ale cóż znaczy wiek w porównaniu z cudnemi arjami konkurenta Kiepury.

A te słóweczko „verté", kończącą każdą stroniczkę listu, czy nie jest rozczulające? ,

Ale — przejdźmy do innego gentlemana.

Papier różowy, charakter niepewny, całość— boska.

Czytaj:

„Siedze przy szklance Orangcady w jedynnej małej kawiarynce naszego miasteczka i rozmyślam o piękności świata, gdyż lubię bardzo się zabawić, i odleciałbym na skrzydłach, żebym ich posiadał, daleko, daleko, ażeby raz użyć rozkoszy. I gdy tak przed siebie śnie, wpada moje oko nagle na jedno z drobnych ogłoszeń w „Kurjerku" którego przed sobą mam leżeć i wraca zawsze, jak od magnetu przyciągane na to same miejsce. Myślałem więc, że to przesnaczenie i wziąłem zaraz pióro do renki, aby kilka słów do pani skierować. Więc jak pani wszystko określa, to i ja sobie tak wszystko wy-

marzyłem, a żeby tej jesienie jeszcze trochę użyć, lecz samemu mi to jakoś nie szło, i szukałem również, jakiś przystojnej towarzyszki, pełnej temperamentu, ażeby z nią razem zapomnieć o wszelkich troskach dziennych. Teras chcę pani mnie samego troche obkreślić, mam 27 lat, z zawodu Dentysta, mam własny zakład Dentystyczny, niezależny i jak ludzie mówią, także przystojny. Na dzisiaj może tego wystarczy, a miałbym prawie to szczęście pomiędzy nielicznemi wielbicielami tym jedynnem być, który został ułaskawiony to proszę bardzo o zawiadomienie.

W oczekiwaniu przychylnej odpowiedzi, czeka niecierpliwie

A. Ćw.
Dentysta.
Strumień".

Nuno, czy ten Dentysta, któremu „samemu jakoś nie szło", to nie rozrzewniająca męska pani Bovary?

Pija sobie „Orangcadę", tęskni za skrzydłami i towarzyszką, z którą mógłby „zapomnieé o wszelkich troskach dziennych".

Łzy same cisną mi się do oczu.

A możeby tak pojechać do niego, do tego Strumienia...

Wejść jakgdyby nigdy nic do Jego „gabinetu", usiąść w przemyślnym fotelu, otworzyć usta, a kiedy chciałby zabrać się do opukiwania zębów, szepnąć mu: „Jestem Venus bez futra"...

Nie.

Nie zrobię tego, nie chcę ranić serca i sobie, i temu biedakowi ze Strumienia. Niech go w dalszym ciągu przyciąga „magnet", a ja Cię tymczasem zapoznam z treścią listu, napisanego na blankiecie jednej z redakcyj poznańskich, a zaczynającego się od słów:

„Venus bez futra... owszem... lubię... Może sam jestem ekscentrykiem — przeinteligenconym — wiecznie głodnym wrażeń... bo... to może zbyt wiele przeżyłem — przecierpiałem — a dziś może nawet zgryźliwie uśmiechając się— szukam „czegoś".

W pierwszym liście — wszystko pisać — to nudne — to zostawia się do wspólnego skrzyżowania floretów — może w walce nawet zbyt ostrej — a tem samem — ...interesującej — podniecającej nerwy. Tylko... tylko rasa... rasa szlachetna by była... prawda?... mam to w całej pełni, jak najwięcej rasowy koń arabski — każdy nerw drga — no i zdaje się nawet dość— dość wart stawiania — na wygraną...

Jeżeli „Tego Kogoś" zaciekawia przesłać mogę w liście następnym — fotografję — a sądzę — będzie to połowa mej wygranej. Co wiecej. jestem ofic. ułanów w rezerwie — literatem i dziennikarzem... no i... ulubieńcem kobiet...

Oczekując skinienia piękną — nerwową rączką — z całą pewnością i kapryśną ośmielam się ją (tę rączkę!!!) ucałować. Br. W.".

Tu jest wybór.

I ekscentryk, i przeinteligencony, i głodny wrażeń, i oficer ułanów, i koń arabski, i literat, i dziennikarz i — każdy nerw drga po przeczytaniu tej nadzwyczajnej epistoły.

Na zakończenie podaję Ci cudowny poemat, stworzony przez natchnionego wieszcza ku memu olśnieniu.

Poemat ten, napisany na liljowym papierze, zaczynał się od słów:

„Nieznajoma,
Czasem tęsknota zamgli okrutnie,
Jakaś nuta tajemna sercem zagra.
Wieczory jesienne... wloką się smutnie,
Radości w sercu nijakiej niema.
Chcąc rozjaśnić swe smutne chwile,
Niemając serca, ni duszy pokrewnej,
I by szarotę dni jesiennych spędzić mile,
Tą drogą szukam znajomości, choć zwiewnej.
W załączeniu przesyłam młodzieńców dwu,
Jednego z nich wybrać chciej...
Jeśli wybierzesz, nad głową napisz mu:
„Ten", wiadomość prześlij: w drodze odwrotnej,
Włodzimierz T. poste-restante Włoszczowa
Adres mój...
Odpisując podasz jeśli łaska swój!
Lat mam 26, niezależny, wolny, młody,
Odpowiedź wzajemną przesyłając mi,
Dasz chęci wzajemnego poznania się dowody,
Ja wzamian natychmiast odpowiem Ci!
Włodzimierz T.".

A tu, biedny człowieku, zachwycasz się jakimś Staffem, jakimś Tuwimem, kiedy w czarownej Włoszczowej marnuje się taki tęgi talent, który niema ani „serca, ni duszy pokrewnej".

Do poematu było dołączone zdjęcie amatorskie, przedstawiające dwuch arcynobliwych młodzieńców.

Jeden z nich, odziany w wykwintną pyjamę, spoczywał, półleżąc, na nieposłanem łóżku i ze znudzeniem palił wonnego papierosa.

Obok siedział drugi Adonis, o klasycznym profilu ks. Konstantego i baczkach Poniatowskiego. Ten młodzian zapatrzył się modlitewnie w książkę, leżącą na brzuchu przyjaciela.

Obok stała pusta flaszka po wódce, a na odwrotnej stronie foto młodzi ludzie umieścili kuszący napis: „Zdjęcie amatorskie własnym aparatem".

Rozumiesz? „Własnym"...

Zacytowałam Ci listy „najozdobniejsze", inne przeczytamy razem po moim przyjeździe do Warszawy.

Całuję

Lula".

Klęska głodu w Arkansas



Wskutek długotrwałej posuchy klęska głodu nawiedziła Arkansas. Rozpaczliwe S. O. S. zostało rzucone na wszystkie strony Stanów, apelując o natychmiastową pomoc dla miljonów ludzi, cierpiących straszliwą nędzę. Ze zwykłą sobie sprawnością Czerwony Krzyż Amerykański pośpieszył z obfitemi zapasami żywności.



Tego jeszcze nie było...





Kolumna, jak kolumna... Trzy miłe buziaki uśmiechają się ponętnie. No i cóż — czy tego jeszcze nie było?.. Cała rzecz na tem polega, że sex-appeal'em zastąpiliśmy ostatnie aktualności, których kliszarnia nie wykonała nam na termin. Zabójcze spojrzenie Lupe Velez i jej towarzyszek — zamiast konterfektów zgorzkniałych dyplomatów, rewolucji w Peru, manewrów francuskich i zebrań komunistów.

Że czytelnicy wybaczą nam tę zmianę — wiemy z pewnością, bo emisarjuszkom naszym wszystko można darować.

Tego jeszcze nie było — i już nigdy nie będzie, bo ładniejszych buziaków już chyba nie znajdziemy w naszej szafie.

W STULETNIĄ ROCZNICĘ



Gen. Franciszek Żymirski, poległy pod Grochowem w 1831 r.

Termopilami Polski nazwali współcześni bitwę pod Grochowem, Termopilami ducha narodowego stała się walka o Olszynkę dla następnych pokoleń Polaków. Tam — po tysiączne już razy dowiedli, że — według słów ks. Józefa Sułkowskiego — godni są posiadania wolności, bo umieją za nią bohatersko umierać.

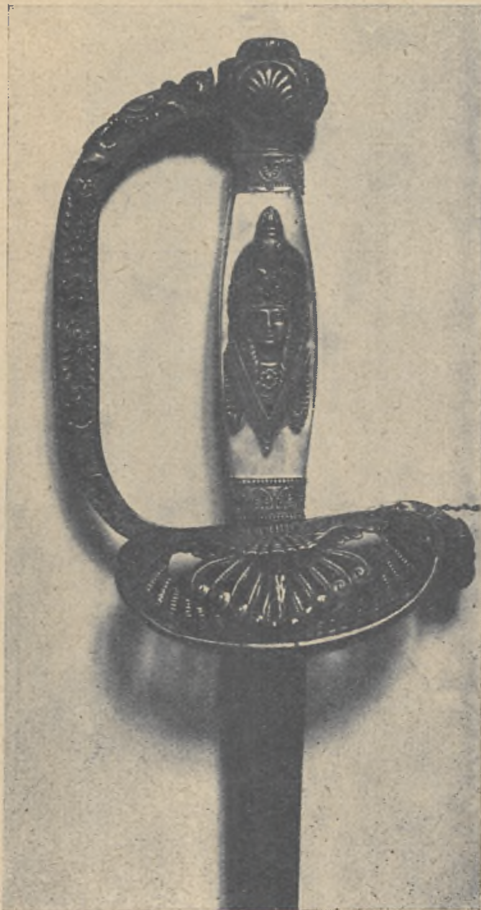
W czterokrotnych, najzaciętszych zapasach o lasek olszowy, centralny punkt pozycji, klucza Warszawy, pokotem ścielą się najmężniejsi obrońcy; padają: Wodzyński, Trzebuchowski, Płonczyński, Karski, Rzewuski, Kisiel; trzeba unieść z pola walki śmiertelnie ugodzonego kulą armatnią dowódcę I dywizji, generała Żymirskiego, który, pomny rozkazu Naczelnego Wodza, że „wolno mu zginąć, nie wolno opuścić pozycji", osobiście odpierał ataki Rosena, i prowadził kontrataki, aż go los w tym trudzie tragicznie zluzował; odjeżdża wreszcie ku Warszawie, ranny w obie nogi, Naczelny Wódz, gen. Chłopicki.

Osiągnięte wreszcie, po stracie 10 tys. ludzi Grochowskie pole nie było jednak dla wroga wstępem do marszu na stolicę. Jeszcze przez pół roku, pomni owego boju, nie odważą się wyciągnąć ręki po nią, by nie doznać, do czego zdolni są Polacy, gdy „czynem stwierdzają, jak umieją być wierni Ojczyźnie" (słowa gen. Żymirskiego).

Obrońcy Olszynki — wodzowie i żołnierze powstańczej listopadowej armji — to w przeważnej mierze starzy bojownicy wolności. Dzieje ich — to dzieje wszystkich dotychczasowych zmagań Polaków o „naszą i waszą wolność" — dzieje Kościuszkowskiej insurekcji i Legjonów, zawodów i nadziei San Domingo i Ulmu. Dowódca boju o Olszynkę, generał Franciszek Żymirski ,jako piętnastoletni chłopiec wstąpił pod Kościuszkowskie znaki i służbę Ojczyźnie. W roku 1797 jest w Legji Włoskiej, walczy pod Weroną i Bopolingo, pod Mantuą, Minzio, pod Ferrarą. Zaznał piekła Egiptu, był na San Domingo z gen. Blumerem, miał szczęście i honor walczyć pod Ulmem. Był szefem bataljonu w II p. piechoty linjowej Księstwa Warszawskiego, majorem w 5 p. piechoty linjowej w bitwie pod Raszynem i w oblężeniu Częstochowy. Czas kampanji 1812 r. spędził, jako dowódca 13 p. p. linj., stojącego w załodze twierdzy Zamojskiej. Sławne są wycieczki tego pułku (Uściług). W wojsku Królestwa Kongresowego jest (od r. 1818) dowódcą pułku Grenadjerów gwardji, w randze generała brygady.

Wybuch powstania wywołał ciężką walkę w duszy Generała. Rozsądek kazał ostro skrytykować sprawców rewolucji, poczucie żołnierskiej subordynacji, obawy komplikacyj politycznych, obłędny chaos pierwszych dni powstania, nie pozwalały opowiedzieć się przy niem odrazu zdecydowanie i jasno. „Polakiem jestem, na niesławę Was nie narażę", mówił do wzywających go do szeregów powstańczych podwładnych mu żołnierzy, wahając się w dniu 30 listopada; „Polakiem jestem, tam pójdę, gdzie naród i wojsko będzie, czynem dowiodę, że Ojczyźnie wiernym być umiem" — oświadczył zdecydowanie Radzie Tymczasowej dnia 3 grudnia 1830 r.

Złożył bezimiennie w Banku Narodowym „znaczną część zebranego poczciwą oszczędnością — według słów współczesnego mu pamiętnikarza, pułkownika Chotomskiego — majątku, pobierany żołd oddawał cały ulubionemu swemu pułkowi Grenadjerów i ofiarował z majątku swego, Kelmbowa, trzykroć znaczniejszą, niż był obowiązany, liczbę jeźdźców". Sam stanął na czele korpusu (zamienionego po reorganizacji w dywizję), mającego bronić traktu do Siedlec ku Warszawie. Rozporządzał dywizją piechoty, dywizją jazdy i artylerją, w liczbie 28 dział. Ożywił swe wojsko — zwłaszcza pułk grenadjerski — poczuciem obywatelstwa i gorącem pragnieniem walki o wolność. Stanął na przeznaczonym mu odcinku, zdecydowany na obronę każdej piędzi ziemi. W bojowy kontakt z wrogiem wszedł d. 11 lutego utarczką koło Liwa i Węgrowa. Przed przemagającemi siłami cofnął się do Kałuszyna i odtąd już — przez owe dwanaście dni życia, jakie mu pozostały— nie ustawał w boju, wstrzymując pochód Dybicza. Nie były mu pomocą chaotyczne, mętne, często sprzeczne działania Sztabu Głównego. Na jego barkach i na barkach jego współkolegów — zwłaszcza gen. Szembeka — spoczął los walki i inicjatywa. Atak gen. Tolla, marsz oskrzydlający gen. Pahlena, skłoniły gen. Żymirskiego — po stoczeniu walki — do odwrotu przez Jędrzejów do Mińska. Odwrót w najpełniejszym porządku, w nieustannym prawie bitewnym kontakcie z Geismarem, zakończono obraniem tam pozycji, której nie wyzyskano, gdyż z pod Dobrego cofnął się gen. Skrzynecki.



Rękojeść szpady gen. Żymirskiego.

Pod Stojadłami stawił Żymirski czoło, rozwijając 14 dział. Przed potężniejszym kalibrem dział i liczebną siłą nieprzyjaciela, trzeba się było cofać jeszcze. Już teraz niema kilku godzin bez zaciętej, rozpacznej prawie walki. Janówek, Miłosna, wreszcie Wawer. Ten Wawer, gdzie śmiała inicjatywa Żymirskiego i przysłanego mu na pomoc gen. Szembeka, podjęła pierwszą w tej wojnie walną rozprawę, do której, by wesprzeć gen. Tolla, użył Dybicz wszystkich swych, blizko będących, rezerw. Mimo jednak całej waleczności dowódców i żołnierzy, odwrót jest nieuchronny, odwrót na ostatnią już linję obrony Warszawy — Gocław i Grochów i — Olszynkę Grochowską.

Tam, rankiem 25 lutego, rozpoczął się ów bój, otoczony aureolą bohaterstwa, rozpacznej wtedy walki o „triumf, albo zgon". Około południa, po czterokrotnym ataku, Olszynkę zasłały ciała tych, którzy byli „wolni już", którzy nie mieli „wynieść swej krwi z Ojczyzny", lecz uczynić z niej zasiew wolności przyszłych w Polsce pokoleń. W południe, uniesiono na płaszczach Generała, który padł, wiodąc osobiście swój ukochany pułk Grenadjerów do ostatniego udanego kontrataku.

„Twardy w służbie, lecz sprawiedliwy, przywiązany do podwładnych, wyborny żołnierz" i ofiarny obywatel, zmarł w kilka godzin potem przy amputacji ramienia. Pochowany czasowo w grobach XX. Kapucynów, potem przewieziony do majątku swego i złożony w podziemiach fundowanego przez siebie kościoła, tam dotychczas, „na łonie ziemi swej", spoczywa.

B. S. M.

Czwarty jubilat powietrzny

PÓŁ MILJONA KILOMETRÓW W OBŁOKACH

28 stycznia b. r. grono asów lotnictwa cywilnego, którzy w służbie komunikacyjnej osiągnęli po pół miljona kilometrów długą drogę przez przestworza (pp.Burzyński, Długaszewski, Karpiński) powiększył p. Stanisław Płonczyński kończąc w tym dniu również 500-tysięczny kilometr swoich codziennych podróży.

P. Płończyński pracuje w lotnictwie komunikacyjnem od r. 1925 i prowadząc samoloty od siedmiu lat, nie naraził żadnego ze swoich pasażerów na jakikolwiek szwank na zdrowiu, co z jednej strony jest dowodem wybitnej sprawności pilota, z drugiej zaś wysokiego poziomu naszej komunikacji powietrznej.

Co o psychotechnice każdy wiedzieć powinien?



Badanie zręczności rąk polega na notowaniu czasu, niezbędnego do rozwikłania „węzła gordyjskiego" — kilku powginanych obręczy, nałożonych jeden na drugi.

W każdej dziedzinie pracy ludzkiej spotykamy pracowników dobrych i złych. Niedostateczna kwalifikacja pracownika danego zawodu ma swe źródło bądź w braku odpowiednich zdolności wrodzonych, bądź też w niedostatecznem przygotowaniu. O ile to drugie można usunąć drogą odpowiedniego szkolenia, o tyle rozwój umysłowy i fizyczny osobnika zamyka się w pewnych indywidualnych granicach, których przekroczenie jest niemożliwe.

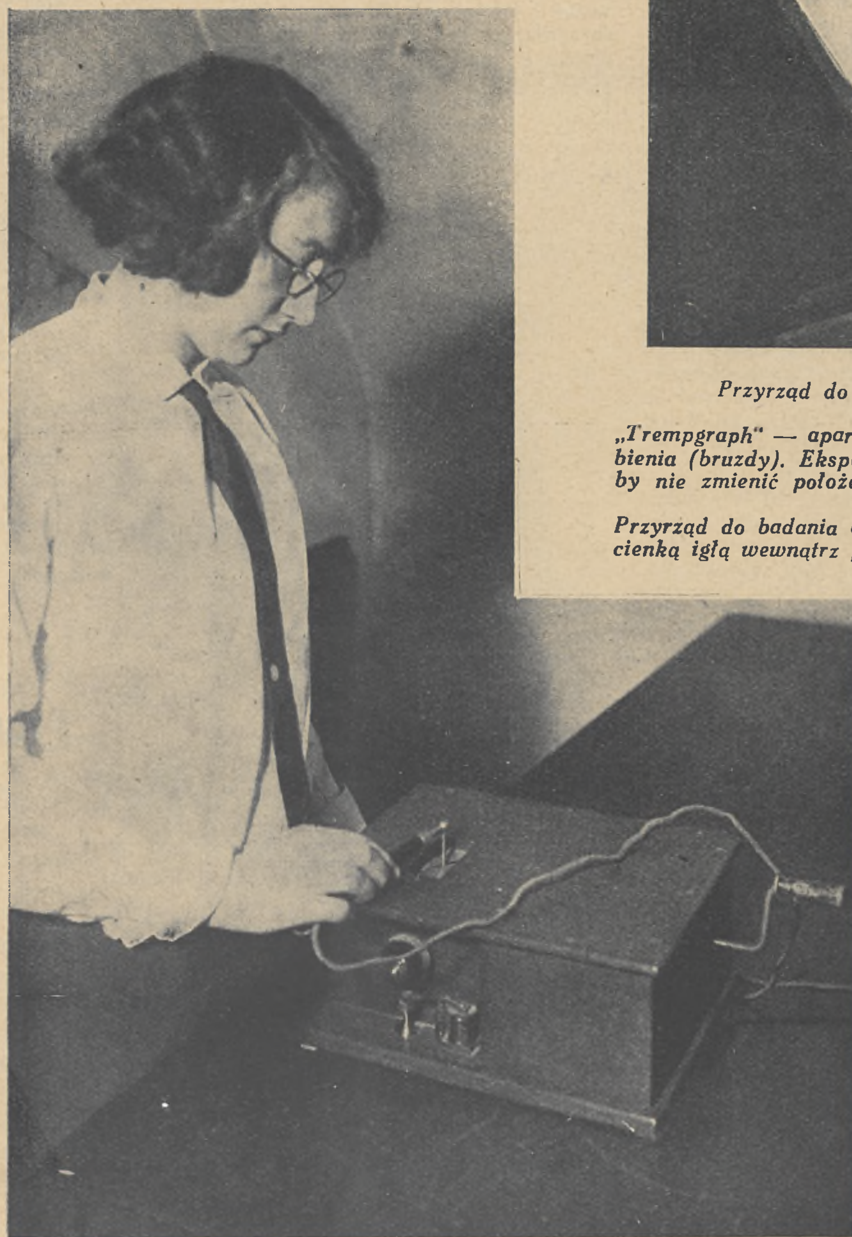
Zadanie psychotechniki polega na ustaleniu, jakie dyspozycje wrodzone oraz zdolności nabyte właściwe są danemu osobnikowi, w jakim stopniu, oraz jak wielka jest skala możliwych zmian? Psychotechnik bada poszczególne funkcje psychiczne nie bezpośrednio, lecz wnioskuje o nich na podstawie czynności, wykonanych przez osobę badaną.

Jakie są objektywne podstawy, które utwierdzają nas w przekonaniu, że krótkotrwałe badanie (około 2—3 godz.), dające nam jakby przekrój psychofizyczny osobnika, pozwala przewidzieć jego powodzenie w pewnym zawodzie? Podstawy te — to znajomość wymogów, stawianych przez poszczególne zawody oraz zastosowanie odpowiednich *testów* (prób) do wykrycia pożądanych uzdolnień.

Każdy rodzaj pracy zawodowej wymaga dyspozycji do pewnego rodzaju *uwagi* (koncentracja, podzielność, ciągłość uwagi i t. p.).

Drugą charakterystyczną cechą jest *sposób reagowania* na podniety, t. j. zachowania się czynnego w zależności od zmian, jakie wokoło nas zachodzą. Reakcje te ujawniają się w nas w postaci myśli, uczuć, ruchów.

Prócz tego równie ważnym czynnikiem jest *wykształcalność*, czyli możność doskonalenia pewnych funkcyj pod wpływem powtarzania danej czynności.



Badanie psychotechniczne stanowi pewną całość, która obejmuje: zmysły (wzrok, słuch i t. d.), pamięć, uwagę, inteligencję, szybkość i stałość reakcyj, odporność na zmęczenie oraz różne uwzględnienia specjalne. Każda z wymienionych funkcyj może występować w bardzo różnorodnych postaciach. W zależności od tego, jaki rodzaj np. uwagi charakteryzuje dany zawód, stosujemy ten lub inny test.

Przyjrzyjmy się dla przykładu zdolności reagowania. Ogólnie rozróżniamy reakcje proste i złożone. Z reakcją prostą mamy do czynienia wtedy, gdy stale występuje ta sama pojedyńcza podnieta i odpowiedź na nią również jest niezmienna (praca rolnika, robotnika). W większości zawodów mamy jednak do czynienia z reakcją złożoną; kiedy kilka bodźców występuje bądź jednocześnie, bądź też w krótkich odstępach czasu i na każdy z bodźców bądź na pewne ich kombinacje należy dać inną odpowiedź. w badaniu psychotechnicznem — jako bodźców używa się zazwyczaj świateł lub dzwonków, reaguje się zaś najczęściej ruchami palców, kończyn i t. p., przytem i sam rodzaj reakcji złożonej, w zależności od zawodu może być bardzo różny: np. reakcje szofera wymagają stale dość dużej aktywności umysłu — zmuszony jest on bowiem wybierać pewien ruch z pośród wielu możliwych, powziąć decyzję.

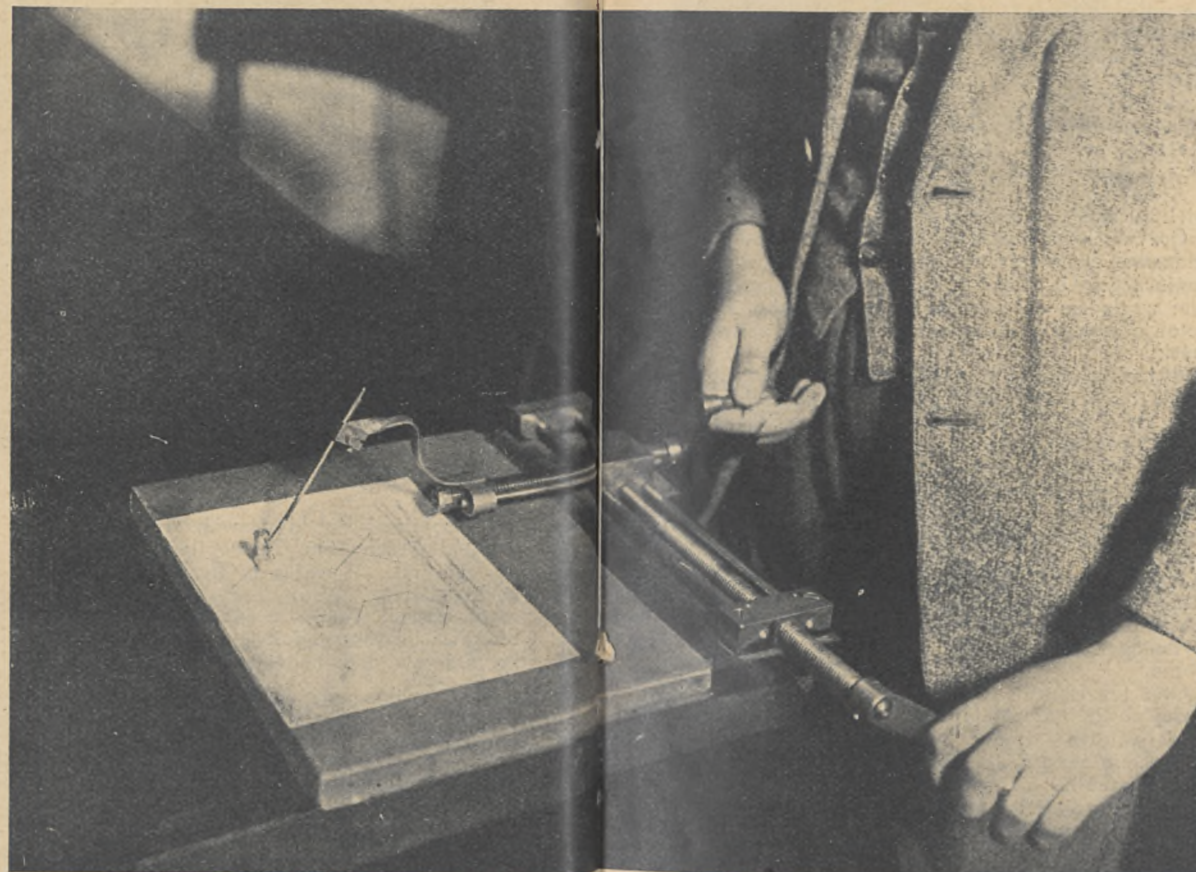
Natomiast inne zawody, jak telefonistki, cechują reakcje złożone, niemal automatyczne. Jeśli mowa o reakcjach ruchowych, to również i sam rodzaj ruchu może być bardziej uczulony (ster łodzi, samochodu) w innych zaś wypadkach chodzi tylko o kierunek ruchu.

Niemniej charakterystycznem również jest tempo pracy. W pewnych zawodach rytm czynności reguluje sam pracownik, w innych zaś, związanych przeważnie z obsługą maszyn, tempo pracy jest narzucone przez maszynę. Wreszcie rozróżniamy różne rodzaje reakcyj i ze względu na ich intensywność — praca drwala, rzeźnika, wymaga reagowania z dużym wysiłkiem, większość zawodów wymaga tylko słabego napięcia aparatu mięśniowego. Podobnie jak badamy różne rodzaje reakcyj, badamy również różne postaci uwagi, pamięci i t. p.

Dotychczas badanie psychotechniczne sprowadza się przeważnie do badania stanu umysłowego, sprawności fizycznej oraz tylko częściowo sfery uczuciowej i woli. A przecież są zawody, dla których, oprócz kwalifikacyj intelektualnych niemniej ważne są kwalifikacje moralne — uczciwość, poczucie odpowiedzialności i t. p. Otóż i w tym kierunku, t. j. możliwości określania charakteru osobnika na podstawie krótkotrwałego badnia, poczynione zostały próby. Niewątpliwie rozwój metod psychotechnicznych pójdzie w tym kierunku, że i ta luka z czasem zostanie wypełniona.

Że psychotechnika jest korzystną zarówno dla jednostki, jak i dla społeczeństwa, to nie ulega najmniejszej wątpliwości: dla jednostki — bo pomaga dobrać najodpowiedniejszy zawód oraz kwalifikuje pracownika objektywnie, niezależnie od protekcji i innych wpływów ubocznych, dla społeczeństwa — bo przyczynia się do zwiększenia ilości dobrych pracowników oraz zapobiega częstym zmianom zawodu.

O użyteczności psychotechniki najlepiej świadczy rozwój pracowni psychotechnicznych na całym świecie. W chwili obecnej niema państwa, w którem nie stosowanoby badań psychotechnicznych. Przodującym krajem w tej dziedzinie są Niemcy, pokryte siecią kilkuset zakładów psychotechnicznych.



Przyrząd do badania szybkiej orjentacji. Należy kręcąc dwiema korbami, posuwać ołówkiem po papierze i kreślić żądane przez nauczyciela figury geometryczne.

„Trempgraph" — aparat służący do zapisywania drgań rę[...] Na cylindrycznym mosiężnym bębenku znajdują się wgłębienia (bruzdy). Eksperymentator winien prowadzić wzdł[...] bruzd przy pomocy sztyftu, oprawionego w rączce, tak, ażeby nie zmienić położenia bębenka. W razie poruszania [...]benka obieg prądu zostaje przerwany, a błąd natychmiast zanotowany na odp[...]wiedniej skali (na lewo).

Przyrząd do badania ostrości wzroku. Przy pomocy śruby, znajdującej się u spodu przyrządu, należy tak długo kręcić cienką igłą wewnątrz pudełka, aż póki nie zajmie położeni[a] ściśle prostopadłego w stosunku do linji wzroku (na prawo)

*

Psychoanaliza znajduje również szerokie zastosowanie w najnowszych metodach szkolnictwa. Liczne doświadczenia w tym kierunku dokonywane są w Stanach Zjednoczonych, gdzie w jednym New Yorku funkcjonuje 25 szkół eksperymentalnych.

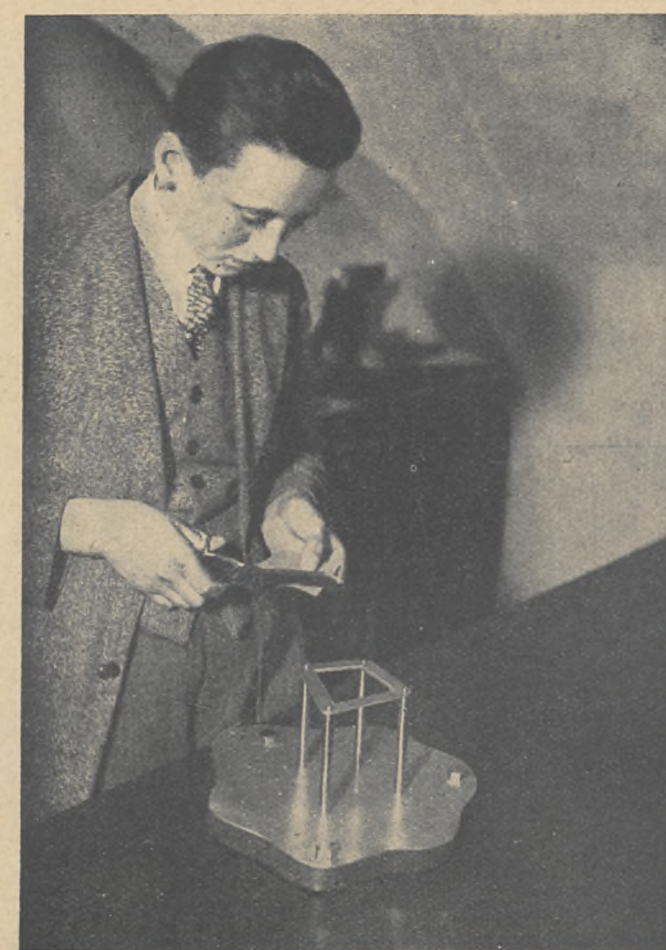
Ciekawe materjały ze szkoły w miejscowości Winnetka (Illinois), opracowane przez uczonego amerykańskiego Carletona Warhburne'a obudziły powszechne zainteresowanie. Zastosowano tu między innemi system indywidualnego traktowania programu szkolnego w zależności od wyniku dokonanego badania *(test)* oraz skasowano egzaminy, zastępując je całkowicie analizą psychologiczną.

Jeszcze jedna kategorja eksperymentów dotyczy praktyki sądowej. W założeniu tego zagadnienia chodzi o dostarczenie wszechstronnego materjału o mentalności podsądnego, któryby wytłomaczył przyczynę popełnienia przestępstwa i zorjentował należycie członków sądu.

Podobny materjał jest istotnie niezmiernie cenny, zwłaszcza dla sądów przysięgłych i głębiej może przemówić do przekonania, aniżeli najlepsza mowa prokuratora lub obrońcy.

Eksperymenty z tej dziedziny, które w gruncie rzeczy porównać można do badań, dokonywanych po orzeczeniu sądu, rozpoczęte w Belgji, pozwalają przypuszczać, iż praktyka ta przyjmie się i w innych krajach.

*



Badanie dokładności wzroku. Przy pomocy nożyczek trzeba wyciąć z papieru dokładną figurę, któraby równo zakryła otwór danego aparatu.

Odkrywcą tych ciekawych metod jest belgijski uczony, dr. Vervaeck z centralnego więzienia w Brukselli. Doniosłe wyniki jego prac stanowią radykalny przewrót w dotychczasowych pojęciach, zwłaszcza, że dotyczą nietylko samego wymiaru kary, ale dają możność podźwignięcia przestępcy z upadku — wyleczenia go przez odpowiednie traktowanie podczas przebywania w więzieniu, które staje się w ten sposób szpitalem. Wychodzą z niego ludzie odrodzeni, gdyż skierowani na właściwe tory życia nie popadną już w dawne błędy.

Przykład Belgji znajduje coraz więcej zwolenników w innych krajach. Oto niedawno złożono projekt podobnych reform we Francji*), Stany Zjednoczone również nie pozostają w tyle, domagając się przeprowadzenia gruntownej rewizji dotychczasowych metod, które wszak uważali za najbardziej humanitarne.

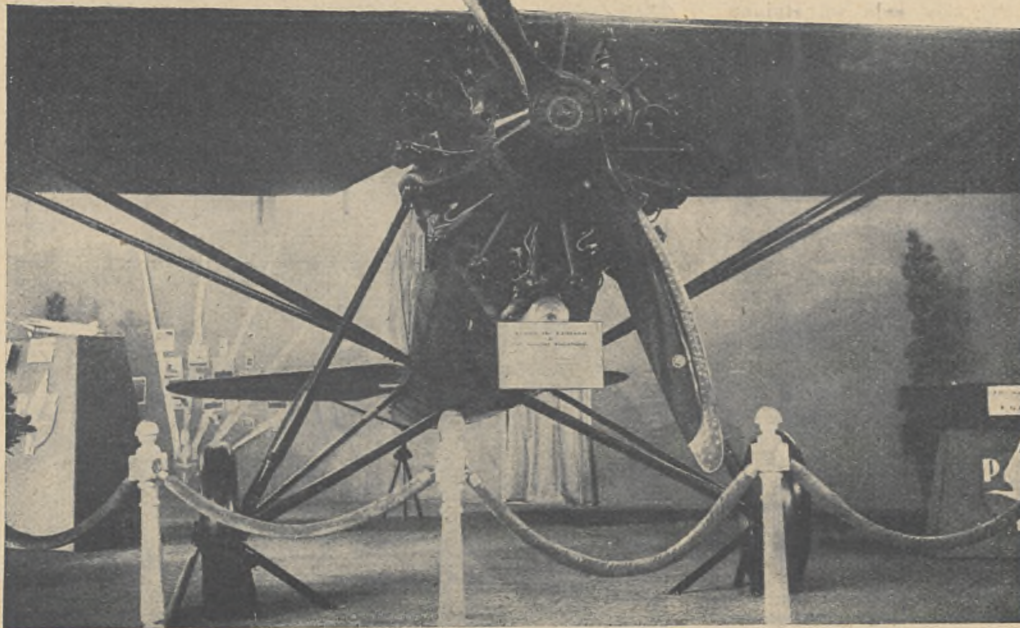
W Polsce od kilku lat psychotechnika również rozwija się; liczba pracowników i ilość zakładów stale wzrasta. W chwili obecnej mamy w Polsce około 20 pracowni psychotechnicznych, z tego na Warszawę przypada 6. Pracownicy zrzeszeni są w Polskiem Towarzystwie Psychotechnicznem, które wydaje kwartalnik „Psychotechnika".

Dr. H. T.

*) Projekt, opracowany przez posła Blacque Belaira, został poparty szeregiem opinji rzeczoznawców z prof. Balthazard'em oraz d-rami Paul Boncour i Rubinowiczem na czele.

TRYUMF POLSKIEGO LOTNICTWA

W ubiegłym tygodniu zademonstrowano przedstawicielom prasy aparat lotniczy P. VI, którego konstrukcja obudziła powszechne zainteresowanie na całym świecie. Przy tej sposobności dziennikarze zwiedzili świetnie rozwijające się Państwowe Zakłady Lotnicze i fabrykę „Skody", zapoznając się z godnym najwyższego podziwu postępem, osiągniętym w dziedzinie przemysłu lotniczego.



JADWIGA KIEWNARSKA.

Paryż — miasto kochanków

Podczas obiadu w domu, takim pół na pół: trochę artystycznym, trochę burżuazyjnym, gospodarz, tonem żartobliwie dobrodusznym, zapytuje młodą cudzoziemkę:

— Ma już pani tu, w Paryżu, przyjaciela?

Lekka konsternacja. W Polsce, po takiem dictum, należałoby w milczeniu i z godnością opuścić dom, ludzi gościnnych, lecz nietaktownych. Ale tu nikt nie ma zgorszonej takiem zapytaniem miny. Przeciwnie, wszyscy zdradzają lekkie zaciekawienie; ot, jakby chcieli się dowiedzieć, jak się przyjezdna z dalekiego, zimnego kraju, zaaklimatyzowała w ich stolicy. A więc: bądźmy łagodni.

— Nie. Na razie — nie.

— A dlaczego?

— Nno... Bo mi się nikt dotychczas tak dalece nie spodobał.

— A jeżeli i nadal nikt się pani tak dalece podobać nie będzie?

— To będę po dawnemu sama.

— Ależ to nie zdrowo!

Tak tu myślą wszyscy. Miłość — rozrywka, a jeszcze bardziej, ćwiczenie higjeniczne, coś nakształt millerowskiego kwadransa dla zdrowia. Każdy to uprawia. Młody — bo lubi i może; stary — aby w siebie wmówić młodość. Pod wieczór, na ulicach, choć do marca jeszcze daleko, pełno całujących się par. Stają sobie bez ceremonji na środku trotuaru, w najruchliwszej dzielnicy miasta i tak trwają spleceni w uścisku, z ustami na ustach, dopóki im się podoba. Nikomu to nie przeszkadza i oni też nie przeszkadzają nikomu. Przechodnie omijają ich z pełną wyrozumiałości sympatją, bez zbytniego zresztą zainteresowania. Czasem zagapi się niedyskretnie, tylko jakiś niedawno przybyły, tchnący jeszcze prowincją, etranżer.



Bo i cóż w tem dziwnego, że się ludzie całują, że objęci i przytuleni, zdążają bez przesadnego pośpiechu, lecz w należytem skupieniu, do najbliższej taksówki? Że bardzo często kawaler w takiej parze wygląda raczej na dziadka swojej damy, albo dama na babkę przystojnego żigolaka, do którego miłośnie się tuli?

Wszystko, co żyje, ma prawo do miłości. Tylko że, oczywiście... miłość w niektórych wypadkach musi znacznie drożej kosztować, niż w innych. To zupełnie zrozumiałe. I tem się także nikt nie gorszy.

Kiedy mowa o modnej gwieździe srebrnego ekranu, przystojny młodzieniec krzywi wzgardliwie usta:

— To histeryczka. Wszędzie rozgłasza, że ją zrujnowałem. A ja ją nawet kosztowałem zupełnie niedrogo.

Mniejszości seksualne korzystają tu również z wszelkich udogodnień. Mają nawet specjalne kawiarnie. Samotna kobieta, przekładająca towarzystwo pań nad brutalne męskie zaloty, odrazu wie, gdzie się ma udać w poszukiwaniu siostrzanej duszy. Podobnie i panowie. W teorji, w myśl drakońskich paragrafów napoleońskiego kodeksu, policja jest obowiązaną czynić takim panom wstręty. Bo kobiety—to quantité négligeable.

W praktyce jednak, wszędzie i na wszystko patrzy się przez palce. Mniejszości seksualne mają tak licznych adeptów, a wśród nich tylu ludzi zdolnych i wpływowych, że doprawdy lepiej z nimi nie zadzierać. Jak można zresztą wymagać, żeby wszyscy i we wszystkiem mieli jednakie gusta?

Zdarzają się, coprawda, podejrzliwe „patronnes d'hotel", wściekłe, jak wszystkie francuzice, które przekroczyły wiek miłości bezinteresownej, a nie dorobiły się majątku, pozwalającego na częste fundowanie sobie przyjemności w pierwszorzędnym gatunku. Jedna z takich wiedźm wymówiła pokój młodej polce, za to tylko, że codziennie, popołudniu, panienkę odwiedzał jej brat. Stara jędza twierdziła, że „nie wierzy wogóle w braci", i już. I nie dało się jej przekonać.

Polka, mądra po szkodzie, wynajmując następne mieszkanie, uprzedziła patronkę że będzie ją codzień odwiedzał jej „ami". Powiedziano jej z życzliwym uśmieche:

— A votre bon plaisir, mademoiselle. — To tak, jakby u nas: — na zdrowie!

Kochankom, którym ciasno i niewygodnie w krzyżowym ogniu warszawskich domysłów i plotek, z całego serca zalecam wyjazd do Paryża!

M. ZOSZCZENKO

CUDZOZIEMCY

Cudzoziemca zawsze potrafię odróżnić od naszych obywateli sowieckich.

Oni, niby cudzoziemcy, mają już coś takiego w gębie. Im, że tak powiem, pysk bardziej dumnie i nieruchomo się trzyma, aniżeli nam. Weźmy, powiedzmy, ich wyraz twarzy, to tak wciąż jakoś dziwnie patrzy się tym wyrazem twarzy na wszystkie przedmioty.

Niektórzy znów cudzoziemcy, żeby się pokazać, że się w każdej sytuacji potrafią znaleźć, noszą monokl w oku. Że niby tego szkiełka nie upuści, nie mrugnie, cokolwiekby się stało.

To, trzeba przyznać, pierwsza klasa.

A cudzoziemiec inaczej nie może. Życie ma dość niesopkojne. Bez takiej dostojności mogą się fatalnie zblamować.

Jak, naprzykład, pewien cudzoziemiec kością się udławił. Kurę — wiecie — wsuwał i połknął coś zbytecznego. A rzecz się miała na proszonym obiedzie. Mnie o tym wypadku pewien znajomek z Torgpredstwa opowiadał.

Otóż rzecz się miała — powiadam — na proszonym obiedzie. Naokoło — być może — miljonerzy przyszli. Ford siedzi na krześle. I jeszcze rozmaici inni.

A tu — wiecie — równorzędnie z tem człowiek kostkę połknął.

Oczywiście, z naszego swobodnego punktu widzenia, w powyższym fakcie niema znów nic haniebnego. Ot, połknął i cała rzecz. U nas w tym względzie odbywa się to dość szybko. Pogotowie jest. Szpital marjański. Cmentarz smoleński.

A tam tego nie wolno. Tam już bardzo dobrane towarzystwo. Naokoło miljonerzy ulokowali się. Ford na krześle siedzi. Znowuż fraki. Damy. Samej elektryczności pali się być może więcej, jak na świecie świec.

A tu człowiek kostkę połknął. Zaraz nos wycierać zacznie. Chrząkać, za pierś łapać się. Ach, mój Boże! Mauvais ton i cholera wie, co jeszcze.

A odejść od stołu i polecieć w przyśpieszonem tempie do wygódki — też nie dobrze, nieprzyzwoicie. „Acha — powiedzą — poleciał się wytentegować". A tam tego absolutnie nie wolno.

Otóż ten francuz, który kość połknął, w pierwszej chwili naturalnie, przestraszył się. Zaraz zaczął w gardle dłubać. Później okropnie zbladł. Zaczął się rzucać na swojem krześle. Ale odrazu zapanował nad sobą. I za chwilę zaczął się uśmiechać. Zaczął paniom rozmaite całusy w powietrzu przesyłać. Zaczął, być może, pieska gospodarskiego pod stołem klepać.

Gospodarz zwraca się doń po francusku:

— Przepraszam, powiada, może pan rzeczywiście co niestrawnego połknął? Niech pan — powiada — w ostatecznym wypadku powie.

Francuz odpowiada:

— Comment? o co chodzi? o czem mowa? Przepraszam — powiada — ja mam wszystko w porządku.

I znów zaczął uśmiechy paniom posyłać. Później zabrał się do blanc-manger. Zjadł porcję.

Jednem słowem siedział do końca obiadu i nikomu niczego nie dał poznać.

Tylko jak wstali od stołu, on zlekka się zachwiał i za brzuch się złapał — pewno kolnęło. A potem jakby nigdy nic.

Posiedział w bawialni ze trzy minuty dla przyzwoitości i przeszedł do przedpokoju.

A i w przedpokoju nie szczególnie się śpieszył, z gospodynią pogawędził, za rączkę potrzymał, za kaloszami pod stół dawał nura razem ze swą kostką. I poszedł.

No, na schodach, oczywiście, dał gazu.

Rzucił się do powozu.

— Jazda! — ryczy — psia mordo, do ambulatorjum!

Czy zdechł ten francuz, czy się wylizał, tego wam nie mogę powiedzieć, nie wiem. Chyba że się wylizał. Rasa naogół dość krzepka.

Setne widowisko „Ulicy" w „Ateneum"

Teatr „Ateneum" pod dyrekcją znakomitego artysty, Stefana Jaracza, obchodził w sobotę, 21 b. m., rzadki w dzisiejszych czasach jubileusz: grając już po raz 100-ny interesującą sztukę Elmera Rice'a p. t. „Ulica". Przez 100 wieczorów sala wypełniona była publicznością ze wszystkich sfer teatralnych stolicy. W dzisiejszych czasach narzekania na kryzys ogólny i teatralny jest to wypadek rzadki. „Ulica" osiągnęła największe powodzenie w ciągu ostatnich kilku lat naszego życia teatralnego.

„Ulica" będzie grana do 1 marca włącznie. W poniedziałek, dnia 2 marca, premjera „Domu Otwartego" M. Bałuckiego.



Stefan Jaracz, święcący wielkie tryumfy aktorskie i dyrektorskie ze swą partnerką Drabikówną, w świetnej „Ulicy" Rice'a.



Romanówna z Maszyńskim, jako aktorem i autorem.
(fot. Brzozowski).

Impresje teatralne

TEATR MAŁY: „Koniec i początek" Marjusza Maszyńskiego.

A my powiemy inaczej: początek i nie koniec! Oby nie koniec! Z pewnością nie koniec! Ten początek komedjopisarstwa najmilszego z aktorów Marjusza Maszyńskiego jest bowiem stanowczo tak świetny, że z pewnością nie będzie zarazem końcem jego karjery aktorskiej. Marjusz Maszyński wszedł w ślady swych kolegów paryskich, jak np. Sacha Guitry oraz Louis Verneuil, którzy również od aktorstwa przerzucili się na autorstwo, nie porzucając, zresztą, swego dawnego zawodu. Ale pocóż szukać tak daleko? Przecież rodzony brat Maszyńskiego — Juljan Krzewiński, łączy w sobie talent aktorski z wrodzoną żyłką pisarską, i to nietylko powieściowo-nowelistyczną, gdyż on to jest przecież autorem libretta do opery Różyckiego „Casanova".

Pierwszyzna autorska Maszyńskiego jest jędrną i soczystą komedją, zalatującą ożywczym aromatem pól i lasów, choć cała dzieje się w wielkiem mieście. Napisana jest, jak na debiutanta, ze zdumiewającą rutyną i jest aż po brzegi wypełniona ultrateatralnemi sytuacjami. Pozatem jest niezmiernie miła, pogodna, promienna, jak sam autor, grający w niej młodzieńczego, jasnego amanta. Nikt chyba jeszcze nie debiutował autorsko z takiem powodzeniem, jak Maszyński. Teatr Mały aż trząsł się od huraganów oklasków na premjerze. Owacjom dla rozpromienionego debiutanta nie było końca. Należały się one wszakże w niemałej mierze również jego partnerom w osobie pp. Romanówny (rozkoszna!), Modrzewskiej (świetna!), Fritschego, Małkowskiego, Kawińskiej i reżysera Węgierki.

ANANAS: „U nas najtaniej".

...i dlatego, zapewne, najpełniej. Ale bo też trudno się oprzeć pokusie posłuchania dźwięcznego głosu Orskiej, oraz napawania się orzeźwiającym widokiem młodziutkich i śliczniutkich Gilewskiej i Sozonowiczówny, za którą wszyscy się już stęsknili. Oprócz tej galerji sztuk pięknych, jest jeszcze niemało sztuk płci brzydkiej, pięknie parodjujących popularny chór Dana. Mamy na myśli Welina, Leńskiego, Belskiego i Rewskiego, pysznie ucharakteryzowanych. Natomiast Runowiecka i Skwierczyńska pięknie się „obrzydziły". Niech żyje szpetota, gdy ma takie piękne skutki! Natomiast brzydoty tekstów nic już nie uratuje. Zaszczytny wyjątek stanowią jedynie: półfinał „Donna Liza" Welly'ego i ciekawa piosenka Migowej p. t. „Nie można przecież z taką twarzą". Ładne muzyczki Białostockiego i dekoracje Mackiewicza dobrze cementują całość rewji.

Henryk Liński.

J. S. FLETCHER. 2)

MORDERSTWO NA OGRODOWEJ

Streszczenie poprzedniego rozdziału.

Do młodego adwokata, Shelmere'a, zamieszkałego w miasteczku Southernstowe, zgłasza się młoda panna, Cyntja Pretty, z tem, że opiekun jej, pan Deane, zniknął nagle z hotelu, w którym miał na nią oczekiwać. Adwokat i Cyntja udają się do hotelu, by zbadać sytuację na miejscu.

— Kiedy pan zauważył nieobecność mego opiekuna?

Belling przesłał adwokatowi porozumiewawcze spojrzenie, jakgdyby chcąc zaakcentować, że kobieta nie umie przeważnie objąć całej sytuacji.

— Nazajutrz rano byłem bardzo zajęty — odparł, zwracając się do dziewczyny. — Przybyło dużo nowych gości. Przyznam, że dopiero około jedenastej przypomniałem sobie, że nie widziałem jeszcze pana Deane'a. Zapytałem pokojówkę i otrzymałem od niej wiadomą już państwu odpowiedź. Oczywiście, dziewczyna była pewna, że gość wstał wcześnie i wyszedł na spacer przed śniadaniem, jak czyni to wielu panów w naszym hotelu.

— To znaczy, że ubranie opiekuna mego również zniknęło! — zawołała panna Pretty. — Bo przecież nie mógł wyjść z hotelu w szlafroku! A czy nikt nie widział, jak wychodził?

— Otóż to właśnie, — przyznał Shelmore, podnosząc się z hotela. — Czy nikt go wówczas nie widział? Mógł jednak opuścić hotel wśród nocy. Jedyne, co teraz nam pozostaje, to zgłosić się do policji. Pozwoli pan, panie Belling, że skorzystam z pańskiego telefonu i zadzwonię natychmiast do komendy. W tego rodzaju sprawach każda chwila jest droga.

Po kilku minutach młody adwokat wrócił do pokoju Billinga.

— Wszystko w porządku, — rzekł. — Za chwilę przybędzie tutaj sam inpektor Mellapont.

ROZDZIAŁ II

TAJEMNICA POŚCIELI.

Do prywatnego pokoju właściciela hotelu wszedł nagle jakiś mężczyzna o miłym wyrazie twarzy i przyjrzawszy się z zaciekawieniem pannie Pretty, powitał uściskiem dłoni Bellinga i Shelmore'a.

— Dzień dobbbry, panie Belling, witam pana, panie Shelmore, — rzucił z uśmiechem. Co to wszystko znaczy? Jakiś jegomość zniknął z hotelu? Opiekun tej pani? Co możecie panowie o tem wszystkiem powiedzieć?

Zajął miejsce w jednym z klubowych foteli i począł słuchać z uwagą treściwego opowiadania młodego adwokata. Po chwili zwrócił się do właściciela hotelu.

—Dlaczego nie dał mi pan znać natychmiast, panie Belling? — zapytał z powagą w głosie. Należało to uczynić bezwłocznie i po zniknięciu pańskiego gościa. Od tej chwili upłynęło już dwadzieścia cztery godziny...

Bellng rozłożył bezradnie dłonie i potrząsnął głową.

— Wszwstko bardzo pięknie, inspektorze.— tłumaczył się, — ale gdyby pan od tak dawna prowadził ten interes, jak ja, przyzwyczaiłby się pan do rozmaitych kaprysów hotelowych gości. W pierwszej chwili byłem przekonany, że pan Deane wyszedł na przechadzkę, która potrwała dłużej, i że wróci na drugie śniadanie. Poszedłem na górę do jego pokoju i stwierdziłem naocznie, że pościel na łóżku była zgnieciona, czyli że gość mój musiał spać w niem przez całą noc. Potem, gdy wieczorem nie wrócił, przyszło mi znowu na myśl, że prawdopodobnie odwiedził w mieście kogoś ze znajomych i został w gościnie przez dzień. W mniemaniu tem utwierdziłem się, gdy nie wrócił na noc, bo możliwą rzeczą jest, że jakiś przyjaciel mógł go dłużej u siebie zatrzymać. Więc widzi pan...

— Chwileczkę,—przerwał Mellapont, zwracając się jednocześnie do panny Pretty. „Czy opiekun pani ma jakichś znajomych w Southernstowe lub okolicy? zapytał. Czy pani wie coś o tem?

— Nigdy o tem nie słyszałem odparła panna Pretty—Jestem raczej pewna, że nikogo nie zna w tem mieście. Dopiero po raz pierwszy w poniedziałek przybył tutaj, a dotychczas zdaje mi się, że nie znał zupełnie Southernstowe. O mieście tem mówiliśmy niejednokrotnie, układając plany podróży. Pan Deane pragnie ujrzeć tutejszą katedrę, jakieś historyczne ruiny i gmachy. Jestem przekonany, że wspomniałby mi przy okazji o znajomych, którzy tu zamieszkują. Jestem prawie pewna, że nigdy w życiu nie był w tej okolicy.

— Ostatni domysł pański musimy wycofać, panie Belling zauważył Mellapont—Więc powiada pan...

— Chciałem tylko powiedzieć, — rzekł Belling że nieobecność pana Deane wydała mi się niewytłumaczona w stosunku do tego, co mówił o swej wychowanicy. Wspomniał mi, że panna Pretty przybędzie tutaj w środę popołudniu. Czyli, że do środy pan Deane miał czas wolny Jeżeli nawet przez ten czas przebywał u znajomych czy przyjaciół, to powinien był wrócić przecież do hotelu na umówioną godzinę z panną Pretty. Opieszałość moja w tym wypadku jest zupełnie usprawiedliwiona. Niejednokrotnie zdarzało mi się, że goście wynajmowali pokój, zostawiali rzeczy i udawali się w odwiedziny, z których wracali dopiero po kilku dniach. Z tego powodu sądziłem że i pan Deane zatrzymał się na pewien czas w gościnie, u któregoś ze swych znajomych.

— To wszystko domysły! — zawołał Mellapont. — Teraz należy wziąć pod uwagę tylko rzeczywiste fakty. Takim faktem rzeczywistym jest, że pan James Deane przebywał w pokoju numer 7 o jedenastej wieczorem w poniedziałek i że nazajutrz rano już go tam nie zastano. Zachodzi teraz pytanie kiedy pokój ten opuścił? Czy w poniedziałek w nocy, czy też we wtorek rano? Chciałbym teraz zadać parę pytań pokojówce. Niech pan ją tutaj zawoła.

Belling wstał z fotela i wyszedł na korytarz. Mellapont spojrzał najpród ku drzwiom, poczem pochylił się w stronę panny Pretty.

— Czy opiekun pani miał zazwyczaj przy sobie większe sumy pieniędzy? — zapytał.

—Owszem!—odrzekła dziewczyna.—Gotówkę zawsze miał przy sobie, a tembardziej teraz ,gdy zamierzał udać się w dalszą podróż. Podczas podróży nie lubił podejmować większych sum z banku. Orjentuję się w tem doskonale, bo niejednokrotnie już podróżowałam w jego towarzystwie.

— A kosztowności? Zegarek, dewizkę lub inne drobiazgi? — zapytał znowu Mellapont.

— W biżuterji kochał się poprostu — uśmiechnęła się panna Pretty — Była to jedna z jego największych słabostek.

— Hm! — mruknął Mellapont, spoglądając porozumiewawczo na Shelmore'a—O wszystkiem dobrze wiedzieć, prawda, mecenasie? Ale, otóż właśnie mamy pokojówkę.

Na progu ukazał się Belling, a za nim weszła nieśmiało młoda kobieta, spoglądając z zaciekawieniem na zebranych w pokoju.

Przez dłuższą chwilę zatrzymała spojrzenia na twarzy inspektora, który uśmiechnął się do niej zachęcająco.

—Oto jest Mary Sanders, oznajmił właściciel hotelu — To ona, ostatnia widdziała w poniedziałek pana Deane'a.

— A o której godzinie to było, panno Mary? — zapytał Mellapont.

— Mniejwięcej po jedenastej wieczorem, sir.

— Gdy panna Mary przyniosła gorące mleko, zauważyła, że pan Deane zamierzał położyć się już do łóżka. Podobno wydał jeszcze jakieś polecenie, aby nazajutrz o siódmej rano podać mu herbatę?

— Tak jest, sir.,

— A gdy nazajutrz, o siódmej rano panna Mary weszła do pokoju, pana Deane'a już tam nie było?

— Nie, sir...

— Czyli, że nie pił podanej herbaty?

— Tak, sir! Herbata została nienaruszona.

Mellapont umilkł nagle i przez kilka sekund nie odzywał się ani słowem. Pokojówka przyglądała mu się z zainteresowaniem. Nagle inspektor pochylił się naprzed i utkwiwszy badawczy wzrok w twarzy służącej, zapytał szeptem prawie.

— A co z łóżkiem, panno Mary? Jak wyglądało łóżko?

Pokojówka spojrzała ze zdziwieniem i zarumieniła się nagle.

— Co pan ma na myśli, sir?

— Chciałbym wiedzieć czy gość spał tej nocy

O kremach w świetle nowoczesnej wiedzy

W dziedzinie pielęgnowania cery i skóry ciała mają kremy wybitnie skuteczne działanie, o ile krem bywa jakościowo i indywidualnie do danych potrzeb ściśle dostosowany. Dotychczasowa wytwórczość nie uwzględniała konieczności indywidualizowania, dziś zaś wystrzegamy się uniwersalnych kremów, ponieważ wiedza wykazała ich bezcelowość. Byle tłuszcz z zapachem nie zasługuje na miano kremu. I tak np. prawidłowa cera nie wymaga zbytniego natłuszczania, a tylko odsłonienia młodocianej warstwy naskórka, co osiąga się matowym kremem „Mira" Dr. Lustra. Wiotczejąca, sucha cera wymaga zasilania jej ożywczemi składnikami, przy pomocy gorących spłókiwań i naparzań nad parą. Do tego znów celu nadaje się jedynie ożywczy krem „Oxa" Dra Lustra. Wykwintny, acz tani krem „Ultrasol" stanowi tarczę ochronną przed zmianami atmosferycznemi, wilgocią, zimnem, słońcem, podczas wysiłków tanecznych i sportowych. Stąd nazwa jego: krem sportowy. Dla tłustej cery nadaje się wyłącznie mleczko „Lityna".

Dr. Zenon B.

w łóżku. Przecież panna Mary, jako pokojówka, powinna się znać na tem? Zauważyłem, że pytanie moje wzięła panienka do siebie. Nie czas teraz na żarty panno Mary!

Pokojówka uśmiechnęła się, spoglądając jednocześnie na właściela hotelu.

— Słusznie, sir, przyznała — Domyślałam się już czegoś, gdy ten pan nie wrócił na śniadanie więc poczęłam oglądać pokój i łóżko bardzo uważnie . Mam wrażenie że pan Deane położył się do łóżka ale nie leżał w niem długo. Mniejwięcej po pół godzinie musiał wstać znowu.

Mellapont klasnął w dłonie i spojrzał po obecnych.

— Ta panienka twierdzi, że pan Deane po krótkiej chwili wstał z łóżka—powtórzył w zamyśleniu — A skąd przyszło to na myśl pannie Mary? — zapytał znowu zwracając się do pokójówki — Czy były jakieś powody tego podejrzenia?

— Gdy przyjrzałam się pościeli, doszłam do wniosku, że nie mógł na niej nikt spać przez całą noc — odparła Mary — Wierzchnia poduszka była bardzo mało zgnieciona, a prześcieradło prawie wcale. Sprawiło to na mnie wrażenie, że gość nasz położył się do łóżka, a potem wstał znowu i więcej już się nie kładł.

Mellapont znowu klasnął w ręce.

— Nadzwyczajne! — zawołał — Nadzwyczajne! Pan Deane udał się na spoczynek, a po pół godzinie wstał! Jestem pewien, że panna Mary jest osobą spostrzegawczą. Proszę mi powiedzieć, gdzie panienka postawiła tacę, gdy przyniosła panu Deane szklankę gorącego mleka.

— Tacę postawiłam na toalecie, sir, w pobliżu fotela, na którym siedział gość zajęty czytaniem".

— Czy na toalecie niczego pana Mary nie zauważyła?

— Owszem, sir. Zauważyłam zegarek, dewizkę, brylantową, szpilkę i kilka brylantowych pierścionków.

— Opiekun mój nosił zawsze dwa brylantowe pierścionki — wtrąciła panna Gretty.

— Doskonale — rzekł Mellapont — Panno Mary, czy nazajutrz rano pierścionki te były również na toalecie?

Nie, si! Na toalecie niczego nie było! Z wyjątkiem szczotki i grzebieni. Nie dostrzegłam tam żadnej biżuterji.

Mellapont skinął głową w stronę Shelmore.

— Nic proszszego, — rzekł tonem poufałym— Pan Deane wstał z łóżka, ubrał się i nałożywszy na palce pierścionki wyszedł. Panno Mary!

— Słucham, sir!

— Sądzę, że ma panienka pod swoją opieką cały korytarz, w którym znajduje się również pokój numer 7?

— Tak jest, sir. Pokój ten znajduje się na pierwszem piętrze. W karytarzu tym jest sześć pokojówka: Nr. 3 5 i 7 po jednej stronie, oraz 4, 6 i 8 po drugiej.

— O której skończyła panna Mary robotę w poniedziałek?

— O zwykłej porze sir. Pół do dwunastej.

— Czy nie widziała panienka pana Deane'a wychodzącego z pokoju?

— Nie, sir. Nie widziałam!

— A jeżeli panu Deane'owi potrzeba było jeszcze czegoś po dwunastej do kogo mógł się zwrócić?

— Do nocnego portjera, Kight'a. Od pół do dwunastej dzwonki ze wszystkich pokojów przełączone zostają do dyżurki Kight'a.

Mellapont zwrócił się do Bellinga.

— Chciałbym widzieć się z Kight'em! — oznajmił.

Belling skinął głową.

— Prześlij go tutaj, Mary, rzekł. — Tylko zaraz.

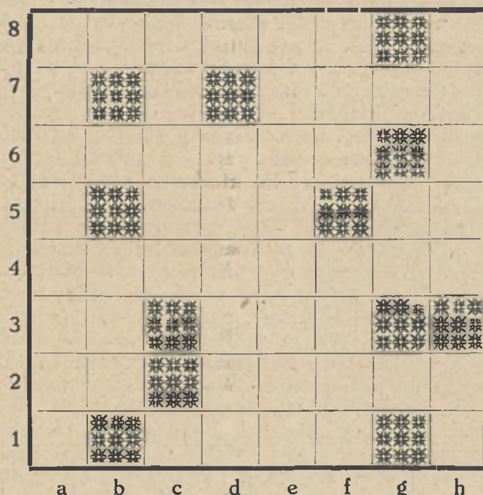
Po wyjściu pokojówki zaległa cisza. Mellapont siedział spokojnie, z wzrokiem utkwionym w suficie pogrążony w głębokiej zadumie. Oprzytomniał dopiero, gdy do pokoju wszedł wysoki mężczyzna w zielonym fartuchu i spojrzał pytająco na Bellinga.

— Pan inspektor pragnie wam zadać kilka pytań, Kight. — rzekł właściciel hotelu.

(d. c. n.)

ROZRYWKI UMYSŁOWE

KRZYŻÓWKA



Znaczenie słów:

Wyrazy pionowe:

a8 Słynny filozof arabski
c8 Port na Adrjatyku
e8 Skrajnie daleko
f8 Cicho!
h8 Straż
d6 Ubiór głowy (l. mn.)
g5 Wykrzyknik
b4 Roślina pożyteczna
f4 Miara długości (l. mn.)
h2 Nazwa litery (wspak)

Wyrazy poziome:

a8 Zagrożony władca
e7 Część świata
a6 Złudzenie
c5 Międzynarodowa Agencja Dzienników
g5 Wspak zaimek wskazujący
a4 Szkic budowli
a3 Wspak nazwa litery
d3 Imię żeńskie (zdrobniale)
a2 Inicjały nieznajomego
d2 Zwierzę
c1 Części omasztowania okrętu

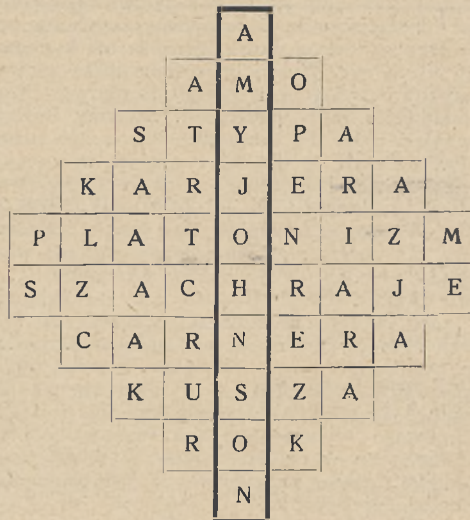
Nagrody

Za rozwiązanie krzyżówki z niniejszego N-ru przeznaczamy do rozlosowania nagrodę w postaci

25 zł.

oraz 2 książki beletrystyczne. Termin nadsyłania rozwiązań do dn. 14 marca b. r.

ROZWIĄZANIE LOGOGRYFU z Nr. 5



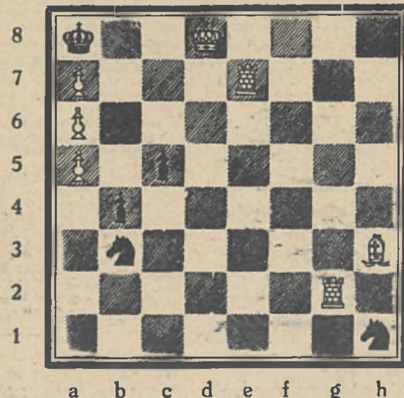
ROZWIĄZANIE METAMORFOZ z Nr. 6

BAŃKA	CHATY
BARKA	CHATA
MARKA	CZATA
MORKA	CZARA
MORDA	IZARA
MORDY	IZERA

Pozostałe rozwiązania i nagrody w N-rze następnym.

SZACHY

Dr. W. Massman, Niemcy, Świat Szachowy, 1931



Mat w 3 posunięciach.

Najmniejszy dziennik na świecie



Karol Bacon, jedenastoletni wydawca pisma, wychodzącego w Douglaston. Prawą ręką młodocianego wydawcy jest jego trzynastoletnia siostra.

W głębi cieśniny Torresa, znajdującej się u północnych wybrzeży Australji, leżą dwie małe, bliźniacze wysepki. Wysepki te, zagubione pośród archipelagów Oceanu Spokojnego, nie widnieją na żadnej z większych map świata. Dzieje ich oraz historja ludności pokrywa gruba mgła tajemnicy. Jedynie ich nazwy naprowadzają domysły badaczy odkryć marynistycznych na pewne przypuszczenia, które jednakże nic konkretnego nie mówią. Wyspy te bowiem noszą nazwy: Wyspy Czwartkowej i Wyspy Piątkowej. Prawdopodobnie jakiś podróżnik, znużony wynajdywaniem nazw dla nowoodkrytych przez siebie lądów, ochrzcił je dniami tygodnia, w których zawinął do ich spokojnych zatok. Wyspa Czwartkowa posiada zaledwie 2000 mieszkańców. Wyspa Piątkowa natomiast, jest stacją kwarantanny dla pobliskiego Queenslandu. Z tego więc względu posiada duże, lokalne znaczenie.

Mieszkańcy Wyspy Czwartkowej uważają się za ludzi swojego rodzaju znakomitych, gdyż u swych brzegów posiadają najbogatsze złoża ławic perłowych z całej cieśniny Torresa. Jednakże sława tych poczciwych ludzi nie ma nic wspólnego z perłami. Pysznią się oni posiadaniem swego własnego organu prasowego i to najmniejszego w całym świecie. Wydawcą tego dziennika (pismo ukazuje się w jednem wydaniu codziennie) jest kobieta: dziennik posiada cztery strony, z których każda ma 27 centymetrów wysokości i 20 centymetrów szerokości. Posiada imponujący tytuł: *„Torres Straits Daily Pilot"*, jest zarejestrowana w sądzie handlowym w Brisbane i jest kolportowaną za pośrednictwem poczty. Na pierwszej stronie posiada wielki napis, wydrukowany grubemi czcionkami: *„Drukowany i rozpowszechniany przez właścicielkę A. Corran.*

Prenumerata wynosi jednego szylinga tygodniowo, płatnego z góry. Pojedyńczy egzemplarz kosztuje 6 pensów (przeszło złotówkę), dla przygodnych nabywców. Ponieważ kolportaż dorywczy opłaca się lepiej, aniżeli abonament, wobec czego stali prenumeratorzy nie są chętnie widziani. Pani A. Corran zredagowała na pierwszej stronie tej treści groźny anons: *Każdy z prenumeratorów otrzymuje tylko jeden egzemplarz.*

Każdy, czytając o tym dzienniku, wzruszy napewno z ironją ramionami, sądząc, że jest to jakaś szmatka papieru, zapełniona miejscowemi plotkami i drobiazgami. Nie dziwimy się temu, bo czyż można sobie inaczej przedstawić dziennik, wychodzący w jakiemś zapadłem, nieznanem mieście, a raczej dużej wsi, której jedyna ulica, ciągnąca się wzdłuż wybrzeża jest pozbawiona bruku, nie mówiąc już o świetle elektrycznem. Jednakże litującego się niedowiarka spotkałby srogi zawód. *„Daily Pilot"* otrzymuje wszystkie nowości ze świata, za pośrednictwem agencji Reutera. Radjo dostarcza obfity materjał najprzeróżniejszych wiadomości. Zawijające do portu okręty przywożą nowiny ze wszystkich stron świata, a bogaci turyści są skarbnicą, z której obrotny reporter pisma czerpie nieustanne wywiady. Prócz tego pismo ma zdecydowany kierunek polityczny, idący po linji polityki ekonomiczno-socjalnej rządów australijskich. Głosi hasło: *Australja dla Australijczyków!* Polemika na tematy interesujące sąsiednią Australję toczy się żywo na łamach *„Daily Pilot"*. Redakcyjna strona pisma jest postawiona świetnie i niejeden z naszych redaktorów prowincjonalnych jakiegoś „Dzwonka Łysobyków" czy „Orędownika Końskowolskiego" winien być zesłany na Wyspę Czwartkową na praktykę.

Komitet redakcyjny *„Daily Pilot"*, publicysta od artykułów wstępnych, reporter, feljetonista, redaktor kroniki wypadków, zecer, metrampaż, maszynista i kolporter pracują w rzadko spotykanej harmonji. Nic dziwnego. Jeden bowiem człowiek te wszystkie skomplikowane i często stojące ze sobą w rozdźwięku funkcje.

Istnieje również inny ciekawy dziennik, którego pikanterja polega na tem, że jego wydawca i redaktor liczy sobie zaledwie 11 lat. Pismo to wychodzi w małem miasteczku Douglaston, położonem w stanie New York w Ameryce Północnej. Szanowni mieszkańcy miasta Douglaston popierają tylko przemysł rodzimy, to też nie prenumerują innego pisma, poza „Douglaston Weekly".

-:- DOUGLASTON WEEKLY -:-

FIVE CENTS PER COPY

2, No. 4 — DOUGLASTON, L. I. — November 1, 1930

LEPHONE CALL FROM MELBOURNE, AUSTRALIA TO DOUGLASTON, N. Y.

On Thursday, October 30th, at 10:25 a. m. Mrs. Gerald F. Bacon, Hamilton Place, Douglaston, received a call from her mother in Australia. The Transatlantic office called to verify Mrs. Bacon's presence at her home, and then the "Are you there?" came from her mother in Melbourne, Australia! Just as distinct as though the call was from New York City. After speaking to her mother, her sister came to the 'phone, and they were able to discuss family affairs the news of the Australian conditions— before the "Time is up, Madam" gave them the second to say good-bye.

DOUGLASTON'S "ANNIE" LINKE DIES

Mrs. Theodore Linke, Main Avenue, Douglaston, died at her home on Main Avenue at six o'clock Monday, October 27th, after being ill for several weeks. "Annie" Linke, as she was always called, was a great character, well known in Queens and in New York City. A story ran in "The Saturday Evening Post" of her "Personality Plumbing Shop," which still has the old plumber sign, although Mrs. Linke has used it for many years as her place of business for handling the discarded clothes of New York's Four Hundred.

She was the only woman deputy sheriff of Queens County, and was the friend of almost every man in uniform.

No one in distress ever appealed to "Annie" Linke for help in vain. Mrs. Linke delighted in testing her fame, and received many letters at her shop in the city addressed to "Annie Linke, New York City."

Mrs. Linke was 66 years old when she died. She is survived by her husband, Mr. Theodore Linke, and her niece, Mrs. Edward Hyland.

STRICKEN WITH APPENDICITIS

Cadet C. Robert Schubert, Staunton Military Academy, was suddenly stricken with appendicitis and underwent an operation at the King's Daughter's Hospital, Staunton, Va., on Sunday evening, October 19th. His parents, Mr. and Mrs. C. A. Schubert, of Centre Drive, hurried to Staunton and found the patient doing very nicely. Mr. Schubert returned to Douglaston on Friday, October 24th. Mrs. Schubert will remain in Staunton until Robert is well enough to travel, when she will bring him to Douglaston

SOCIAL NEWS

Mrs. William Stout of San Francisco is visiting her sister, Mrs. Frank B. Smithe, Centre Drive. On her return to California she will take with her Mrs. Smithe's two small sons who will remain in California while their parents are traveling in Europe.

Mr. and Mrs. Oliver H. Bartine recently of Shore Drive and now of Bridgeport, Connecticut, were the house guests of Dr. and Mrs. N. P. Breed over the past week-end.

On Friday evening, October 31st, All Hallowe'en, the annual Hallowe'en dance was held at the Douglaston Club.

On October 26th, the Sunday supper and bridge club met at the home of Dr. and Mrs. N. P. Breed, Ridge Road. Those present were: Mr. and Mrs. R. N. Hyde, Mrs. M. B. McLellan, Mr. and Mrs. H. J. Peper, Mr. C. A. Schubert of Douglaston and Mrs. and Mrs. O. H. Bartine of Bridgeport, Connecticut. Prizes were won by Mrs. Breed and Mr. Schubert.

The Red Cross units of Douglaston and Little Neck have added a new feature to their activities. They now maintain a visiting nurse whose territory extends from Flushing to Little Neck.

Among others from Douglaston who attended the Army-Yale football game in the Yale Bowl on Saturday, October 25th, were Mr. and Mrs. Joseph Hoke and Mrs. George Pitt-Smith They were the guests of Mrs

(Continued on page 5)

Pierwsza strona „Douglaston Weekly".

STALIN

(Dokończenie ze str. 179)

Stalinowi nie przeszkodził nawet testement Lenina — pozagrobowy list rewizora. Lenin nazwał Stalina „prostakiem" nie do zniesienia, na stanowisku „genseka" (gen. sekretarza). Jednakże za życia nie usunął go z tego stanowiska. Dlaczego? O swych współczesnych przeciwnikach sam Stalin wyraził się kiedyś: „Słyszeliście tu, jak starannie opozycjoniści lżyli Stalina. Tłumaczy się to tem, że Stalin zna, być może lepiej, niż inni, wszystkie kawały opozycji". Stalin nie jest „natchnionym mówcą", ani „świetnym pisarzem" — prawdopodobnie nawet nie pretenduje do tego. Ale na rzemiośle dyktatorskiem zna się wcale nieźle. Absolutnie nie uważam go za nowego Napoleona. Rola Stalina w rewolucji bolszewickiej w ostatecznym obrachunku, prawie na pewno, okaże się nienazbyt dodatnia. Bardzo trudno przewidzieć, jak zachowa się na „finishu". Czego, mianowicie, brak Stalinowi? Kultury? Nie sądzę: na co tym ludziom kultura? Sztanca ich aparatu myślowego pracuje automatycznie — u wszystkich mniej więcej jednakowo. „Teoretyków" Stalin zawsze znajdzie dowoli, bez względu na to, czegoby zapragnął.

Linja, po której początkowo bez wahania szedł po władzę nad partją, była, widocznie, właściwa. Mówię: widocznie, ponieważ mimo wszystko sprawa nie jest jeszcze ostatecznie zakończona. Sztukę z jajkiem Kolumba po Kolumbie mogli przyswoić sobie inni — stanowisko zaś generalnego sekretarza partji komunistycznej nie jest, ostatecznie, dożywotnie. Przy pewnem szczęściu rola wodza opozycji może okazać się bardzo korzystna. „Tylko umarli nie powracają", — rzekł wybitny działacz tego termidora. Stalin, zapewne, rozumie, że wiatr we współczesnej Rosji zmienia często kierunek i że przy pierwszej zmianie wiatru prawie cała jego sfora z pełną gotowością przerzuci się ku Trockiemu. Przyznaję, że „z gorącem zainteresowaniem" czekam na to, co zrobi Stalin na tym trudnym egzaminie do trudnej roli historycznej.

To, co teraz dzieje się w Rosji, jest walką, osobistą, prawie taką, jaką prowadzi się w państwie zwierzęcem. Ja, osobiście, uważam, że wszystkie sytuacje Stalina znaleźć można w życiu Trockiego i odwrotnie: należy wziąć do ręki ich mowy i artykuły nie z kilku tygodni, lecz z kilku lat. W komunistycznej partji zachodzi nieustanne *chassé croisé*. Ludzie którzy w swoim czasie opowiadali się za „ubogimi", teraz bronią interesów „kułaków", jednakże z pełną gotowością znów związą się z „ubogimi", jeżeli w ten sposób łatwiej można będzie skręcić kark przeciwników. Zinowjew poprzednio wraz ze Stalinem rzucał gromy na Trockiego, teraz wraz z Trockim piorunuje na Stalina — czyj klasowy podkład uległ zmianie? Sam Stalin był (za czasów Lenina) przeciwnikiem „nowej ekonomicznej polityki". Prasa nasza nie bez racji gubi się w domysłach: kto z bolszewickich przywódców jest bardziej lewicowy, kto zaś bardziej prawicowy? i czy lewicowi przywódcy nie opierają się aby na prawicowych masach? Zapewne, wodzowie sami nawet nie wiedzą o tem, podobnie jak nie wiedzą tego, czem zajmą się wówczas, kiedy rozprawią się już z konkurentami. Dość przeczytać ich notatki dyskusyjne. Trocki, sycząc z wściekłości rzuca w „ludzi aparatu" Czang-Kaj-Szekiem, Purceliem, kułakami, „socjalizmem w jednym kraju". Zachłystujące się głosy odpowiadają mu okrzykami: „Granda! wstrętny mieńszewik!... Co za nikczemność!... Śmierć gadzinie! Nie trzeba być wielkim psychologiem na to, aby poprzez stenogramy wyczuć nastrój tego posiedzenia, charakter owej „dyskusji politycznej". Nie, nie chodzi tu o Czang-Kaj-Szeka, ani o Purcella! Nie chodzi również o ideową różnicę zdań. Zasadniczą rolę odgrywa osobista nienawiść, nienawiść zwierzęca, nienawiść wynikająca z tego rodzaju ideowych przesłanek, że Woroszilow i Jarosławski nie mogą patrzeć bez wściekłości choćby tylko na samą fizjonomję Trockiego.

A więc życzymy im wszystkim tego, czego wzajem sobie życzą. Nie wiem, kto z nich śmiać się będzie ostatni. Na samym ostatku śmiać się będziemy my. Niezbyt pociesza mnie ta perspektywa śmiechu na gruzach. Jednakże powiedziane jest w genjalnej księdze: „Czas płaczu i czas śmiechu... Czas rozrzucania kamieni i czas zbierania kamieni... Czas rozdzierania i czas zszywania... Czas kochania i czas nienawiści..."

TADEUSZ ALF-TARCZYŃSKI.

Ze wspomnień wojskowych

Pierwsza kara Władysława Ludwika Everta

Miło jest czasem wygrzebać z pamięci wspomnienie lat dawnych, szczególnie jeśli ono dotyczy młodości już minionej.

Było to dawno, dawno. Polski jeszcze nie było, i mało kto przypuszczał w on czas, że kart z rozdziału „Niewola" w historji „Kraju rodzinnego" zostało już niewiele. Garść jeno ludzi, nie bardzo spora, wierzyła, że przyjść musi do wojny, że na naszym polskim podwórku wezmą się za łby trzej złodzieje.

I na tę chwilę gotowały się obydwie organizacje wojskowe: Związek i Drużyny.

Koniec 1912 roku, czy początek 1913-go.

Byłem w tym czasie już oficerem*) „Polskich Drużyn Strzeleckich" i pełniłem obowiązki „Komendanta Miejscowego" w Krakowie.

Żołnierze krakowskiej organizacji, to głównie młodzież uniwersytecka, sztubacy wyższych klas szkół średnich, młodzież rzemieślnicza i trochę robotników. Biedota...

Któregoś dnia przychodzę do lokalu „Drużyny" na ćwiczenia. Zastaję w moim pokoju d-cę kompanji, podchorążego Grudzińskiego (św. i bohaterskiej pamięci kpt. Franciszka Pękrzyca) sprzeczającego się o coś z moim adjutantem, kadetem Sulimą. Okazuje się, chodzi o pseudonim nowego członka „Drużyny".

— Cholera — mówi Grudziński — zapisała się jakaś pokraka i wymyśliła sobie jakiś cudaczny pseudonim.

I pokazje mi listę zgłoszenia:

Imię i nazwisko: Władysław Ludwik Evert.

Skąd: z Moskwy.

Zawód: literat.

Pseudonim: Luccioli (poprawiono na Lucioli, później na Luchioli, wreszcie Luczioli).

Jak Drużyna Drużyną, takiego pseudonimu nikt sobie jeszcze nie wymyślił. I nawet w pierwszej chwili nie wiadomo, czy to poważne nazwisko, czy kpiny jakieś.

Wchodzi do pokoju kilku starszych kolegów. Powiada ktoś: — Jakto, nie wiecie, przecież to był słynny Garibaldczyk — gdzieś czytałem — i zamyśla się, przypominając sobie, gdzie?

Ktoś drugi: — Żaden Garibaldczyk, tylko kardynał średniowieczny. Lucia Borgia — o! coś koło tego.

— Ale nic podobnego! — dowodził ktoś jeszcze. — Jak nie wiesz kto — to, odrazu kardynał. Nie kardynał, tylko słynny bandyta włoski.

Ktoś jeszcze udowadniał, że nie bandyta, tylko podróżnik. (W rezultacie do dnia dzisiejszego nie wiem, co znaczył ten pseudonim, i ciągle zapominam Everta o to zapytać).

Sprzeczka na temat tego dziwnego pseudonimu zaczęła być coraz goretszą. Wypchnąłem więc sprzeczających się za drzwi. Został tylko Grudziński.

— On sam bardziej cudaczny, niż jego pseudonim — powiada do mnie. Zobacz go sam, Alfie, jaka małpa. Czeka tam, w przedpokoju. Uczciwi ludzie za niego ręczą — tfu!

Zawołali nowicjusza. Osłupiałem.

Cylinder, żakiet, nieposzlakowanej świeżości kołnierzyk, bajeczny krawat, cudownie zaprasowane spodnie, lakierki, wypielęgnowane, wymanikiurowane kobiece ręce, i — o zgrozo — monokl w oku. Monokl, który widziałem przedtem zaledwie raz czy dwa razy u jakiegoś dragońskiego, austrjackiego oficera.

Stanął, wyprostował się na baczność.

Na pytania odpowiadał albo krótko: „tak jest", albo nie po ludzku, zwyczajnie, lecz jakiemiś długiemi okresami literackiemi.

Mówiąc szczerze, wcale mi się ten paniczyk nie podobał. Podświadomie, spróbowałem go odstraszyć: zacząłem mu oschle mówić o panującej u nas karności, o żołnierskiem posłuszeństwie, o braku jakichkolwiek bądź przywileji, o wczesnych zbiórkach, o dosyć dużym fizycznym wysiłku. Wysłuchał w milczeniu, jakimś swoistym ruchem, popatrzył na swoje wypolerowane paznokcie, zaczem podniósł na mnie oczy (zauważyłem wówczas, że ma zimne, twarde spojrzenie) i rzekł niedbale — zupełnie nie po wojskowemu: „Bon! Wytrzymam!"

Strasznie to było śmieszne. Trudno było pozostać surowym przełożonym, który po raz pierwszy rozmawia z rekrutem i powinien być w takiej sytuacji, jak przyjęcie nowego członka organizacji, ogromnie uroczystym. Sytuację uratował Grudziński, który wywołał mnie do sąsiedniej sali na musztrę.

— Zostańcie tutaj — rzekłem do Lucziolego — przyślę wam adjutanta który poinformuje was o waszych nowych obowiązkach. — I wyszedłem, dusząc się od śmiechu.

W pewnym momencie dosłyszałem w moim pokoju wyraźny szczęk szabel.

Wpadam więc nagle, zdziwiony, co to takiego być może, i ku mojemu osłupieniu widzę, że w moim pokoju, pokoju komendy, Luczioli bije się na szable, zdjęte z mego biurka, z moim adjutantem. Takie zuchwalstwo obydwu rozgniewało mnie wprost niesamowicie, choć gniew nie przeszkodził mi zauważyć, iż wymuskany i papinkowaty Luczioli fechtuje się wzorowo, przerastając wyraźnie mego muskularnego adjutanta i bijąc go według własnej woli. Te przeistoczenie się Lucziolego, z chwilą, gdy ujął szablę, zdziwiło mnie i zarazem nastroiło doń przychylnie. Zesrożyłem się jednak nie na żarty. Krzyknąłem. Przerwali walkę. Adjutantowi kazałem zameldować się do raportu, Luczioli zaś otrzymał karę z miejsca:

— „Stójka karna pod karabinem dwie godziny w sali ćwiczeń — początek kary natychmiast".

Dyżurny oficer dziwnie ochoczo włożył zasądzonemu karabin na ramię i postawił go twarzą do ściany, na której wisiała mapa.

I stał rekrut Luczioli dwie godziny w cylindrze, z monoklem w oku, na oczach rozbawionych kolegów. Stał na baczność, twarzą do mapy, z nosem na wysokości Warszawy. Nie wiem, czy przewąchał, że w Warszawie będzie redaktorem naczelnym „Polski Zbrojnej".

*) W Polskich Drużynach Strzeleckich był tylko jeden stopień oficerski z tytułem podchorążego.

Pechowy pomnik



Pewien rzeźbiarz angielski otrzymał zamówienie na pomnik marszałka Haiga, który po czterokrotnej przeróbce zyskał poniższą krytykę „Daily Telegraphe":

„Może się zdarzyć, aż najlepszy jeździec może zgubić nakrycie głowy. Może to się zdarzyć i generałowi — lecz pocóż właśnie podobną chwilę upamiętniać przy wykonaniu pomnika. Artysta mógł się omylić to też proponowałby, aby chociażby przez wzgląd na zasługi marszałka oraz przez poczucie właściwej wszystkim anglikom „correctness" wykosztowano się na drugi pomnik dodatkowy (projekt na załączonym rysunku), poświęcony wiernemu ordynansowi, trzymającemu w ręku czapkę wodza"..

HUMOR



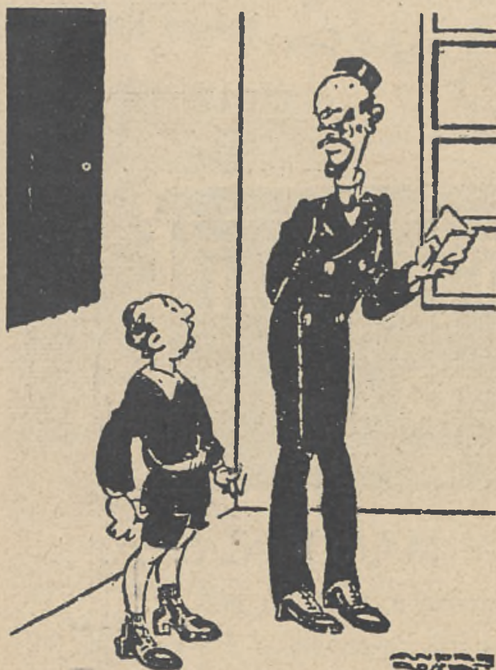
— *Mówiłam ci, żebyś nie czernił sobie wąsów!...*
— *Dlaczego? Czy to znać?*
— *Znać — ale na szyi u pokojówki, stary łajdaku...*

(Boulevardier).



— *Czy sądzisz, mamusiu, że moja Zosia już jest dosyć duża, żeby jej opowiedzieć, jak to ją przyniósł bocian?...*

(Life)



— *Powiedz mi, co to jest synonim?*
— *Synonimem nazywamy taki wyraz, którym zastępujemy inny, kiedy nie wiemy jak się pisze...*

(Matin).

WILLY REESE.

Hochstaplerzy

Baron von Veltheim

W końcu sierpnia 1929 roku doniosły dzienniki, że w Południowej Afryce został zaaresztowany baron Karol Ludwig von Vertheim, pod zarzutem zbrodni, wielokrotnych kradzieży i oszustw. Dzieje życia tego człowieka obfitowały w fantastyczne niemal przygody, którym pozazdrościłby najbardziej sensacyjny nawet film amerykański.

Swoje szczególne zdolności do umiejętnego rozmijania się z kodeksem karnym zaczął przejawiać już we wczesnej młodości. Urodził się w Brunświku, jako syn uczciwych rodziców. Jego rodowe nazwisko brzmiało Kurtze. Zachowanie się jego w domu było tak uciążliwe i przykre dla rodziców, że wreszcie oddano go do internatu, słynącego z bardzo surowej reguły. Jednakże niesforny charakter chłopca dał się prędko we znaki surowym przełożonym, przyzwyczajonym zresztą do złych charakterów swych wychowanków. Kilkakrotnie prosili rodziców o odebranie swego syna, pod pretekstem, iż mały Karol demoralizuje i tak już zdemoralizowanych chłopców. Wreszcie, kiedy Karol zaczął zdradzać coraz częściej zamiłowanie do własności prywatnej swych towarzyszy, odesłano go do domu. Tutaj, obiecujący Karolek nie zagrzał długo miejsca. Ukradłszy ojcu pewną sumę gotówki, umyka w niewiadomym kierunku.

Pieniądze jednakże są poto, by je wydawać. O tym aforyzmie przekonał się wkrótce młody uciekinier, kiedy znalazł się z pustą sakiewką, w jednym z portów południowo-francuskich. Nie tracąc jednak czasu zaciąga się do marynarki handlowej i wyjeżdża w świat. Podczas swych kilkuletnich rejsów zdobywa znajomość języków, pomocnych mu później w jego poczynaniach, jak również poznaje życie z odwrotnej strony medalu. Jego edukacja jest skończona. Rzuca służbę na okręcie i udaje się do Transwaalu, słynącego z bogatych pól djamentowych. Tam, wstępuje do policji kopalnianej, gdzie rozpoczyna swą przestępczą karjerę na wielką skalę. Kilka drobnych przewinień, które wyszły na jaw, zmuszają komendę policji do wydalenia krnąbrznego funkcjonarjusza. Karolek jednak nie traci głowy i natychmiast zmienia swą osobowość, występując obecnie w roli barona von Veltheima. Pierwsze jego kroki w karjerze oszustwa polegają na zawieraniu związków małżeńskich z bogatemi kobietami, które, po szybkiem i gruntownem oskubaniu z dóbr doczesnych, porzuca. Dodatkowo „pracuje" w sklepach jubilerskich, posługując się najrozmaitszemi trickami. Są to jednak stosunkowo drobiazgi, które nie zadawalają „barona", tęskniącego do więcej szerokich „interesów". Jednocześnie, ziemia pod nogami zaczyna mu się palić. Szybko zwija swoje manatki i wyjeżdża do Europy. Na razie zatrzymuje się w Londynie. Tam spotyka młodą dziewczynę, która wychodzi za niego zamąż i której wcale nie przeraża dotychczasowy sposób zarobkowania męża. Owszem, zaczyna mu być pomocną w jego aferach jubilerskich. Działalność tego złodziejskiego stadła zwraca wreszcie uwagę Scottland Yardu. Agenci zaczynają im deptać po piętach. Baron von Veltheim postanawia zniknąć. Sugeruje samobójstwo w ten sposób, że pewnego dnia wyławiają z Tamizy zwłoki topielca, ze zmasakrowaną twarzą, posiadającego w kieszeniach papiery Veltheima. Wezwana do kostnicy żona poznaje w topielcu swego męża. Policja daje się oszukać. Agenci oddychają z zadowoleniem. Człowiek, który nie pozwolił im przespać nie jedną noc, umarł.

W międzyczasie zdrów i cały baron von Veltheim oczekuje w porcie na przybycie swej małżonki. Wyjeżdżają natychmiast do Południowej Afryki, dawnego terenu działania barona, poczem udają się do Ameryki. Te ciągłe podróże podsuwają im myśl spożytkowania ich nie tylko dla samej satysfakcji podróżowania, ale i dla zysku.

W parę miesięcy później na olbrzymim parowcu pasażerskim, kursującym pomiędzy San Francisco i Australją, zaczynają się dziać dziwne rzeczy. Oto codzień niemal ginie u któregoś z pasażerów portfel z pieniędzmi, względnie kasetka z klejnotami. Kapitan „Columbji" jest zrozpaczony. Pomimo nieustannej obserwacji detektywów okrętowych, fakty kradzieży nie ustają. Trudno jest posądzić kogoś z pasażerów, bez wyraźnych poszlak, a tembardziej barona von Veltheima, zajmującego luksusową kabinę pierwszej klasy. Baron von Veltheim jest tylko swojego rodzaju dziwakiem. Oto nie pozwolił swych ciężkich i olbrzymich kufrów umieścić w składzie bagażowym okrętu, lecz polecił wstawić je do swej kabiny. Twierdził, że tam są zbyt cenne dla niego przedmioty, aby miał je spuszczać choć na chwilę z oka. Tajemnicą jednak poliszynela, znaną jedynie samemu baronowi, było to, że jego cenny ładunek składał się z dużych kamieni, obciążających największy z kufrów.

Wreszcie bomba pęka. Jedna z pasażerek pierwszej klasy, miss Mabel Sekkell, ginie w tajemniczy sposób. Pozostawia jedynie na stole w swej kabinie list, zaadresowany do mr.



— *Ca? Jakich kompanów?... To pan komisarz nie wierzy, że to ja sam potrafię tak oporządzać gości?... A może byśmy, frajerska łapo, wyszli sobie na chwilę na podwórze, to ci pokażę, jaki ze mnie majster...*

Stuart'a Webbstera, kapitana „Columbji". List brzmiał następująco:

Szanowny panie Kapitanie!

Z prawdziwą przykrością opuszczam pański statek, bez osobistego złożenia mu serdecznego pożegnania. Wybaczy to pan zapewne młodej kobiecie, ponieważ nie wątpię, że jest pan gentlemanem. Okoliczności składają się dla mnie dość niepomyślnie, a ponieważ zdołałam już sporo zebrać kosztowności i pieniędzy dla mych miłych współtowarzyszy podróży, nierozględnem by było, co zresztą sam pan by przyznał, pozostawanie dłużej na pokładzie. Wysiadłam w Poebo. Staliśmy przecież tam trzy godziny na kotwicy.

Racz pan jeszcze raz przyjąć moje serdeczne pozdrowienia

zawsze oddana

Mabel Sekkell.

Kapitan, po przeczytaniu tego ironicznego listu, nie posiadał się ze wściekłości. Natychmiast, po wylądowaniu w Sidney, zawiadomił władze policyjne o bezczelnej złodziejce, którą należy przytrzymać, zapewne w drodze powrotnej do Ameryki.

Tymczasem w Sidney wysiada również baron von Veltheim. Jedzie do pierwszego z brzegu hotelu i pierwszą jego czynnością jest otwarcie największego kufra. Z wnętrza wychodzi miss Mabel Sekkell, a właściwie jego żona, która ostatnie dwa dni musiała podróżować w ten dość niewygodny sposób. Trick polegał na tem, że baron powyrzucał w nocy kamienie za burtę okrętu i w opróżniony kufer zamknął żonę, wraz z jej cennym łupem. Ta operacja przyniosła przedsiębiorczej parze około 40.000 funtów szterlingów.

I tym razem jednak baron von Veltheim stwierdził na sobie wartość innego przysłowia: *kradzione nie tuczy*. Pieniądze szybko się rozchodzą, tem więcej, że państwo baronostwo żyją bardzo wystawnie, zadziwiając miejscowych miljonerów swoją rozrzutnością i szaleństwemi. Baron, nie chcąc jednak mieć kuli u nogi, porzuca swą małżonkę, tak samo zresztą, jak to czynił z jej poprzedniczkami. Nawet nie miał odrobiny wdzięczności za jej pełną poświęcenia się pomoc, w złodziejskich przedsięwzięciach.

(d. c. n.)

Wśród pism i książek

Zanim przystąpimy do zwykłego sprawozdania z ostatnich nowości księgarskich — parę słów poświęcimy smutnemu zaiste zjawisku, nad którem my zwłaszcza, pracujący na niwie piśmiennictwa, załamujemy ręce. Sprawę tę nie my pierwsi poruszamy, i obawiamy się, że długo będzie ona aktualną, gdyż, niestety, zagarnia coraz szersze sfery i coraz głębsze zapuszcza korzenie. I jeśli można od biedy pocieszyć się myślą, iż kryzys gospodarczy, który tak dotkliwie odczuwamy, jest zjawiskiem wszechświatowem, zależnem od splotu różnorodnych okoliczności, wynikłych z przewrotu dokonanego przez wojnę — to trudno pogodzić się z tem, iż naród, jak my, wyzwolony z pęt wiekowej niewoli, obojętnem okiem spogląda na wszystko, co wymaga pewnego natężenia umysłu w kierunku głębszych upodobań. Kryzys, o którym będzie mowa, jest czarną plamą na naszej teraźniejszości, gdyż świadczy o upadku, niegodnym kulturalnego narodu. Mamy tu na myśli ten marazm, któremu uległa twórczość literacka, wynikający z niechęci ogółu do drukowanego słowa. Firmy wydawnicze z trudem utrzymują się przy życiu. Zarzuceni jesteśmy najgorszą tandetą — sensacją, obliczona na tani efekt — gdyż ten genre jedynie znajduje nabywców. Przelicytowywanie się w tym kierunku doszło do ostatecznych granic. Miast szukać nowych dróg, wydawcy nasi dają się niestety unosić prądowi. Czasopiśmiennictwo podąża również tym szlakiem. Inteligencja upada. Dusze jałowieją — i rychło patrzeć, a pobijemy wszelkie rekordy, obniżając się do poziomu, o którym pisać będą w dziejach kultury, jako o ostatecznym upadku myśli.

I dlatego właśnie, iż tak smutny przeżywamy kryzys, z tem większą satysfakcją podnieść musimy zasługi niektórych firm, które, nie upadając na duchu, poświęcają wszystkie swe wysiłki wydawaniu rzeczy najlepszych i oddają je do użytku publicznego w najlepszej formie. Drogo nieraz każą sobie płacić — lecz dają zato towar doskonały. Na tem właśnie polega tajemnica ich powodzenia.

Zpośród kilku firm, które zasługują na tę pochwałę, wyróżnia się zaszczytnie „Wydawnictwo Polskie R. Wegnera". Pokaźna ilość rzeczy, wypuszczonych przez tę firmę na rynek i ogólne zainteresowanie zapowiedzią każdej, choćby najkosztowniejszej nowości — jest najlepszym dowodem, iż do publiczności można jeszcze trafić, byleby dawać towar bez zarzutu. A wówczas zaryzykować można i poważne dzieło historyczne, i pamiętnik, i notatnik z podróży, rzecz, traktującą o przyrodzie lub o filozofji lub wreszcie niekoniecznie „sensacyjną powieść".

Ostatniej nowości R. Wegnera poświęcamy niniejszy przegląd.

F. A. OSSENDOWSKI — GASNĄCE OGNIE — PODRÓŻ PO PALESTYNIE, SYRJI I MEZOPOTANJI.

„Gasnące ognie" obejmują cykl wrażeń, które znakomity podróżnik przywiózł z wędrówki do „Świętego Wschodu", gdzie „modlitwy do miłującego wszystkich Zbawiciela Świata, do surowego Jachwe i do Allaha toną i giną w ohydnym zgiełku i przeraźliwym jazgocie targowiska" — z potrzykroć świętej Jerozolimy, skarbnicy chrześcijaństwa, a jednocześnie grobu Dawidowego i Omara. Obszerna bibljografja, którą autor cytuje w swem źródłowem i nawskroś oryginalnem dziele, świadczy nietylko o poważnem przygotowaniu, z jakiem przystępował do odbycia podróży, ale również podnosi jego zasługi, gdyż nikt z pewnością nie zdołał odtworzyć tak głębokiej syntezy przedmiotu. Ujęcie wszechstronne, w którem równe miejsce zajmuje historja tych ziem, jak też stosunki polityczne i etnograficzne, a zarazem żywość i barwność opisów — oto cenne walory książki. Na szczególną uwagę zasługują obserwacje, poczynione na temat przyszłości osadnictwa żydowskiego, budzącego nawet w sercach najbardziej ideowo nastrojonych sjonistów poważne troski. Uczuciem szczerej sympatji okraszone są te obserwacje, podobnie zresztą, jak ze współczuciem traktowane są ludy Islamu, od wieków osiadłe na tych ziemiach. Autor pragnie rozwiązania wszelkich antagonizmów na gruncie porozumienia — w myśl Chrystusowej nauki o miłowaniu bliźniego. Europejczyków, którzy tu posiadają swe interesy z mniejszą traktuje atencją — bo cóż: „jedni pragną się tu usadowić, gdyż jest to granica Indyj, skąd grozić mogą Wielkiej Brytanji", drudzy „zamierzali zabezpieczyć sobie brzegi morza Czarnego i Śródziemnego, aby na nich panować", inni znów „pragną mieć oko nad uprawianą tu polityką, więc ugrzęźli w Syrji, nie bardzo wiedząc, co mają dalej z tym mandatem robić, bo to zabawka kosztowna i kłopotliwa..." Czy parlamenty i rządy nie sporządziły dotąd bilansu, ile ta polityka półkolonji przynosi państwom europejskim... czy nie świta już w głowach polityków myśl, że gra nie jest warta zachodów... czy nie wyczuwa się jeszcze w powietrzu burzy, jako plonu zasiewu wiatru?"... Wspomnimy wreszcie o licznych uwagach, nastręczających się Fr. Ossendowskiemu, jako Polakowi, a więc przedewszystkiem o szacunku, którym cieszy się każdy poddany Lechistanu u narodów wschodnich, po dziś dzień wdzięcznie opiewających bohaterskie czyny i szlachetność Polaków rzucanych tu przez los, jak niezapomniany Emir Rzewuski. Równie interesujące są spostrzeżenia o stosunku żydów palestyńskich do Polski.

Na zakończenie tej, zbyt może szczupłej, analizy, zwrócimy uwagę na wysoką wartość literacką ustępów, poświęconych dziejom starożytnym ziem.

Okładkę projektował Leon Chejfec

Konserwatyzm „niezależnych"



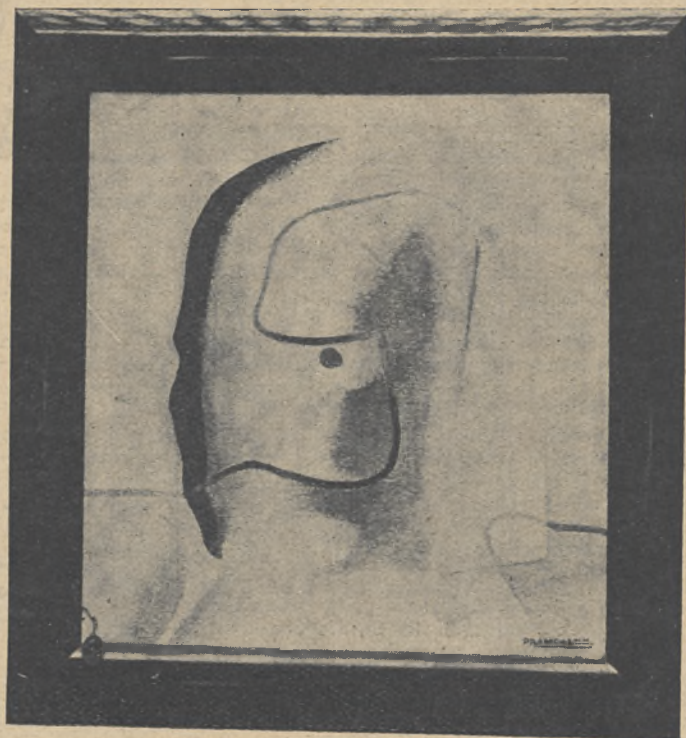
Anna Carrer — Drugie dzieciństwo.



August Moreau — Wojna, zbrodnia i wyzysk.

Tak zwani „niezależni", którzy z zasady goszczą na swoich wystawach najbardziej cudaczne nawet obrazy współczesnych mistrzów, muszą częstokroć odrzucać dzieła kolegów, starających się ubiec innych sensacyjnością pomysłu lub zgoła już przesadnem traktowaniem tematu. Podnosi się wówczas wielki krzyk — padają ciężkie oskarżenia, „niezależni", w braku innej rady, uciekają się po cichu do pomocy władz, prosząc, aby zarządzenia pozornie przynajmniej wychodziły z ich inicjatywy.

Oto, naprzykład, plon, zdyskwalifikowany przez jury, ostatniej wystawy — tryptyk, poświęcony zbrodni, wojnie i znienawidzonemu „bourgeois", portret karykaturalny jednego z członków Akademji, p. t. „Drugie dzieciństwo" oraz niezrozumiały bohomaz, zatytułowany "Architektura Mussoliniego".



Frampolini — Architektura Mussoliniego.

Wszystkie te rzeczy zostały zdjęte przez przedstawicieli prefektury policji, salwujących tym sposobem „niezależnych" od tak bolesnego dla nich zarzutu hołdowania konserwatyzmowi.

„7 DNI" WYCHODZI CO CZWARTEK W WARSZAWIE — KRAKOWIE — POZNANIU — LWOWIE — I WILNIE

Prenumerata krajowa wraz z przesyłką: kwartalna: 5.50; półroczna 10.50, roczna 20 zł. Prenumerata zagraniczna: kwartalnie 8 zł., półrocznie 15.50 zł., rocznie 30 zł Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Marszałkowska 99. Tel. 525-85. Konto PKO 19-447. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca

Redaktor naczelny: EUGENJUSZ RAFALSKI Wydawca „PRASA ILUSTROWANA" S-ka z ogr. odp

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12. Tel. 717-98 i 504-46.